Rok 1901. Lwów, 17. Lutego Nr. 7.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

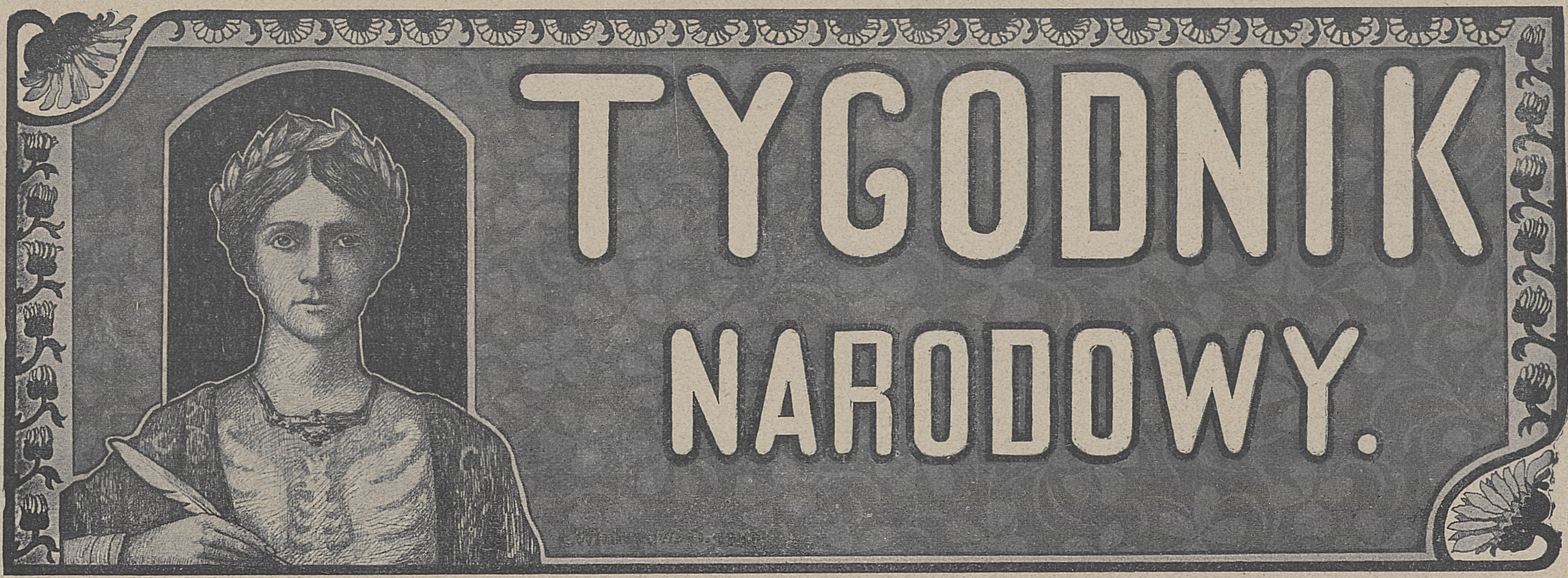
ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 17. lutego. Nr 7.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 7:

Czy istotnie tak źle?

Quand le diable devient vieux il se fait ermite...

Od pewnego czasu prasa nasza wszystkich trzech zaborów zajmuje się coraz częściej młodzieżą. Lekarze i publicyści stwierdzają niesłychane jakoby wyczerpanie fizyczne, nieprodukcyjność i chartactwo duchowe młodzieży. Szukając środków zaradzenia złemu, jedni proponują reformę wychowania fizycznego młodzieży, drudzy chcą wywołać wśród młodzieży pewien „prąd moralny" przez rozszerzanie opinii, potępiającej nadużycia i przekonywanie młodzieży o nieobliczonych stratach osobistych i społecznych, jakie one pociągają za sobą. Jedni i drudzy przytem zapewniają, że w tej sprawie zachodzi *periculum in mora*.

Nie będąc ani lekarzem, ani pedagogiem, nie przyznaję sobie kompetencyi do stwierdzania istotnego stanu rzeczy; obserwując jednak młodzież naszą, sądzę, że ci, którzy trąbią na alarm, powinniby coś więcej na dowód takiego niebezpieczeństwa przedstawić nad gołosłowne zapewnienie o fizycznej i moralnej degeneracyi ogółu młodzieży. Przekonać mogłyby tu tylko cyfry, wykazujące porównawczo, że siły fizyczne i umysłowe młodego pokolenia istotnie słabną stopniowo. Należy, iżby władze szkolne poddawały uczącą się młodzież obowiązkowej, peryodycznej rewizyi lekarskiej, coby stwierdzała ogólny stan zdrowia i stopniowy rozwój młodzieży. Lekarze hygieniści niechajby notowali rezultaty corocznych prac komisyi poborowych i zestawiali wskazówki superrewizyj z danemi z lat dawniejszych. Nie tuczę, iżby nawet ta statystyka mogła już dać obraz wyczerpujący, ale będzie ona zawsze stokroć cenniejszą od obserwacyj dorywczych, częstokroć zaprawionych tendencyą. Tak, jak zarzuty te podnoszone być wają dzisiaj, nie mogą one nie narazić się na zarzut, iż opierają się na metodzie uogólnień.

Prawda, iż młodzież dzisiejsza nie wytrzymuje porównania ze średniowieczną. Żelaznej nie udźwignie zbroi i nie równać się jej z siłą prawicy Zbyszka, Kmicica, lub Podbipięty. Ale zestawmy tę młodzież z bliższemi jej czasami, porównujemy ją z sobą, kiedyśmy byli na ławie szkolnej, a dzisiejszy jej stan nie wyda się nam może tak bardzo rozpaczliwym. Uderzmy się w piersi! A toż i my nie byliśmy ani Herkulesami ani aniołami. Na ogół biorąc, nie kruszyliśmy podków w swych dłoniach i nie odwracaliśmy wstydliwie oczu od uroków owocu zakazanego. A jeżeli byli pośród nas ludzie fizycznie i moralnie krzepcy, to tylko ci nieliczni, dla których głęboko religijne wychowanie i czujna dbałość rodziców była osłoną przeciw pokusom. A jakie to było nasze wychowanie fizyczne? Gra w piłkę w lecie, ślizgawka w zimie i jazda konna na wakacyach, gdy dzisiaj mało które z dzieci nie przechodzi systematycznego kursu gimnastyki i lekcyj tańca, a niech tylko cokolwiek podrośnie, czekają nań różnego rodzaju dawne i nowe sporty, więc wyścigi, myśliwstwo, łyżwiarstwo, wioślarstwo, kolarstwo, uprawnione przez specyalne Towarzystwa. Dawniej młodzież uboższa całemi latami przesiadywała w miastach i miasteczkach, nieskanalizowanych, cuchnących, mieszcząc się bez rachunku i miary w małych, dusznych izdebkach; a jeżeli ubogi uczeń wyjechał na wakacye, to najczęściej po to tylko, aby kilka wolnych od lekcyj tygodni prześlęczyć na wsi nad korepetycyami. Dziś jeszcze w łonie matki biorą dziecko w opiekę Towarzystwa dobroczynne, a gdy ujrzy światło dzienne, czuwają nad jego hygienicznem wychowaniem, mierzą kubiczność powietrza, którem ma oddychać, wysyłają na wieś po zdrowie i siłę, choć samo miasto daje mu już nierównie więcej hygieniczne warunki życia, niż przed laty, wreszcie dają stypendya i zapomogi; jednem słowem otaczają je opieką, jakiej za naszych czasów zgoła nie było. — A moralnie? W ósmym lat dziesiątku zeszłego stulecia był brak tak różnorodnych zakładów naukowych, jakie mamy dzisiaj, a filozofia pozytywna odbierała nam moralne podstawy i rzucała niejednego w wir niepohamowanego używania życia; dziś odrodzenie religijne, coraz widoczniejsze, powraca młodzież do dawnych, lepszych tradycyi i daje jej w rękę siłę moralną, której nic zwyciężyć nie zdoła.

Daleki jestem od tolerowania złego tam, gdzie ono się objawia. Przeciwnie, starajmy się, ażeby młodzież nie popadała w błędy i w złe warunki bytu, jakie myśmy niegdyś poznali; ale bądźmy wyrozumiali i sprawiedliwi, a przedewszystkiem strzeżmy się uogólnień. Szanujmy młodą ambicyę. Pomagajmy jej, a pomagajmy starym, wypróbowanym środkiem, co najlepszą zawiera w sobie hygienę: wychowaniem domowem, dbałem zarówno o fizyczne, jak i moralne zdrowie, a opartem na religii i poczuciu obowiązków patryotycznych.

Nie chciałbym być źle zrozumianym, więc powiem jeszcze: można i trzeba zrobić dla fizycznego i moralnego życia młodzieży w szkołach bardzo jeszcze wiele, ale nie godzi się dążyć do tego, zapomocą nieustannych alarmów, niepokojących opinię publiczną i zabijających w młodzieży wiarę w siebie. Jeżeli pokolenie, w którem ojcowie nasi i my wzrastali, mimo braków i zboczeń młodości, pracuje dziś niezgorzej na niwie społecznej, to miejmy nadzieję, że i dzisiejsza młodzież wzrośnie na chlubę kraju.

A jeszcze jedno. W pewnem piśmie warszawskiem znajduję list studenta wszechnicy w obronie młodzieży, a w tym liście nieocenione słowa, które warta powtórzyć:

„Obyczaje publiczne w świecie — pisze młodzieniec — wytwarza nie młodzież ucząca się; przychodzi ona do gotowych stosunków i, niestety, czasami daje się w nie zapędzić. Ale gdy prasa chce w tej sprawie głos zabierać, to powinna zwró-

cić się z chłostą nie do tych, którzy są od stosunków zdaleka, lecz przedewszystkiem do tych, którzy młodzież złego uczą...“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

† *Król Milan.*

W Wiedniu, daleko od kraju, któremu po ciężkich walkach zapewnił niepodległość i możność swobodnego rozwoju, opuszczony przez rodzinę, znienawidzony przez syna, któremu pozostawił ugruntowany silnie tron młodego państwa, umarł były król serbski, Milan Obrenowicz.

W chwili obecnej, gdy awanturnicze i hulaszcze wybryki jego lat ostatnich, sprzedanie tronu i praw obywatelskich za brzęczącą monetę, zatargi z żoną, intrygi i procesy o „zdradę stanu“ są jeszcze w świeżej pamięci, ogólny obraz działalności tego monarchy przedstawia się bardzo niekorzystnie. Gdy jednak ustalą się i uwydatnią lepiej owoce jego pracy politycznej, a zatrze się wrażenie dziwactw i wybryków, historya może osądzi go inaczej od współczesnych. Pozostanie mu zawsze zasługa, że, korzystając zręcznie ze stosunków ogólno-europejskich, wywalczył małemu księstwu swobodę polityczną, zapewnił mu niezależność i wpływowe stanowisko pośród państw bałkańskich, wreszcie zaś dał mu możność rozwoju wewnętrznego i przyswojenia sobie owoców kultury europejskiej.

Milan urodził się dnia 22 sierpnia 1854 r. Był synem księcia Michała Jefremowicza, bliskiego krewnego panującego wówczas księcia Miłosza Obrenowicza, a po śmierci Miłosza wstąpił w roku 1868 na tron serbski. W roku 1872 uzyskawszy pełnoletność, objął rzeczywiście rządy kraju. W r. 1876 spróbował wyzwolić Serbię z zależności od Turcyi, ale poniósłszy klęskę pod Aleksinaczem, musiał uznać w r. 1877 na nowo zwierzchnictwo sułtana. W tym samym roku jednak jeszcze powiódł naród na nowo do walki z Turcyą, zawikłaną w wojnę z Rosyą, i tym razem stanął u celu. Na kongresie berlińskim, na którym regulowano spory bałkańskie, Serbia uzyskała samodzielność polityczną i część dotychczasowego terytoryum tureckiego. W roku 1882 Milan przyjął tytuł króla serbskiego.

Niespokojny umysł nie pozwolił mu na wyzyskanie praw zdobytych, celem wewnętrznego podniesienia kraju. Pragnąc nowych zdobyczy terytoryalnych, rozpoczął w r. 1886 wojnę z Bułgaryą i poniósł ciężką klęskę. Interwencya Austryi wybawiła go z trudnego położenia. Zniechęcony niepowodzeniem i zatargami wewnątz kraju, złożył w r. 1889 koronę i odstąpił tron młodemu synowi Aleksandrowi, zamianowawszy regentem energicznego Risticza. Udał się do Paryża i tu rozpoczął życie hulaszcze i awanturnicze, i aby wydostać się z długów, zrzekł się w roku 1891, za sumę 3 milionów franków, na zawsze praw do tronu, a nawet praw obywatelskich. Młody król Aleksander, objąwszy rządy, powołał go w r. 1894 na nowo do kraju i powierzył mu dowództwo nad armią. Małżeństwo króla z Dragą Maszin, zerwało harmonię pomiędzy ojcem a synem. Oburzony Milan opuścił Serbię i nie powrócił już do niej. Przeżyła go żona, Natalia Keczko, córka pułkownika rosyjskiego, z którą ożenił się w r. 1875, rozwiódł w r. 1888, a pogodził znowu w r. 1893. Pozostawił jednego tylko syna, urodzonego w r. 1876, Aleksandra, któremu już w r. 1889 odstąpił tron serbski.

Z parlamentu austryackiego.

Wybór prezydyum w austryackiej Izbie poselskiej przyszedł wreszcie do skutku, grożną katastrofę zażegnano literalnie w ostatniej chwili.

Jednomyślny wybór hrabiego Vettera przyszedł do skutku tylko pod grozą obstrukcyi z tej i z tamtej strony izby. Czesi grozili na przypadek wyboru Pradego, Niemcy na przypadek wyboru Fuchsa.

Jednomyślny wybór prezydyum bynajmniej nie zwiastuje wszakże uzdrowienia parlamentu; posłowie, czując tylko, że bez ustępstw wzajemnych parlament w jednej chwili byłby rozbity, pożałowali świeżych mandatów i znaleźli drogę do wyjścia. Mimo to obstrukcya szczerzy zęby ze wszystkich kątów i mało jest nadziei, aby chociaż cząstka pozytywnej pracy mogła być wykonana.

Na najbliższem posiedzeniu zabrał głos minister skarbu B ö h m - B a w e r k dla wygłoszenia exposé finansowego.

Na wstępie zaznaczył, że budżet tegoroczny pod względem budowy technicznej różni się od budżetów przeszłorocznych o tyle, że wydzielono z niego preliminarz inwestycyjny.

Następnie cyfrowo porównując budżet obecny z poprzednimi zauważył, że w razie zgody Izby nastąpi złagodzenie niektórych postanowień nowelli podatkowej z roku 1899, w pewnych granicach rzeczowo usprawiedliwionych, a finansowo możliwych. Minister omawia techniczne traktowanie budżetu i inwestycyi, dowodzi, że praktykę dawniejszą określić można, jako hipersolidną, a także jako zupełnie odpowiadającą stosunkom ówczesnym.

Minister wskazuje na wzrastające żądania, jakie się stawia wobec państwa, szczególnie w kierunku polepszenia ekonomicznej egzystencyi robotników państwowych. Zwraca uwagę, że akcya na tem polu, chociaż jeszcze nie ukończona, oznacza już obecnie wydatek większy o 80 milionów kor. rocznie, podczas gdy nadwyżka dochodów wynosi około 25 milionów koron. Stosunki analogiczne panują w budżetach krajowych.

Reasumując wszystko, minister dochodzi do wniosku, że sytuacya nasza budżetowa nie daje wprawdzie powodu do obaw, ale też nie pozwala działać lekkomyślnie.

Zmiana statutu Koła polskiego.

Komisya statutowa Koła polskiego wypracowała już projekt reformy statutu.

Z ważniejszych zmian dotychczasowego statutu, przyjętych przez komisyę, należy wymienić następujące:

W § 2 postanowiono, że na przyjęcie nowego członka nawet przed ukonstytuowaniem się Koła potrzeba uchwały.

W § 3 dodano, że Koło wybiera nie jednego, ale dwu wiceprezesów.

W § 5 oznaczono termin 3-dniowy, w ciągu którego prezes jest obowiązany zwołać posiedzenie Koła na żądanie 5 członków.

W § 9 ma być postanowienie, że w razie nieobecności $^2/_3$ członków w Wiedniu odroczenie posiedzenia może nastąpić wprawdzie ze strony prezesa, ale na żądanie $^1/_3$ części obecnych, i że nowe posiedzenie, któreby obradowało przy jakiejkolwiek liczbie członków, ma się odbyć w ciągu 24 godzin.

W § 11 ma być pozwolonem członkom Koła stawianie interpelacyj nawet bez zezwolenia Koła, ale za jego zawiadomieniem i po przeprowadzonej dyskusyi. Podpisy mają być zebrane wewnątrz Koła, na podpisy zewnątrz Koła musi się uzyskać uchwałę Koła. Interpelacye te nie mogą się odnosić do spraw zagranicznych, nie do ogólnej sytuacyi politycznej wewnętrznej, nie mogą być wymierzone przeciw Kołu i jego członkom.

W § 12 komisya proponuje, aby w Izbie było wolno przemawiać członkom Koła, wydelegowanym do tego przez Koło, a bez jego upoważnienia i w własnem imieniu: — 1) referentom komisyi poszczególnych w przedmiocie ich referatów, 2) wnioskodawcom, którym Koło pozwala postawić wniosek, 3) w szczegółowej dyskusyi budżetowej nad poszczególnemi pozycyami.

W § 14 postanowiono, że komisyę parlamentarną wybiera się co dwa miesiące i że do niej należą z urzędu prezes i wiceprezesowie Koła. Komisya ta decyduje o zachowaniu się polskich posłów tylko w sprawach nagłych.

§ 16 i 17 postanawiają, że w obradach Koła brać mogą udział także posłowie polscy z sejmu śląskiego i bukowińskiego.

W § 20 dodano, że oprócz komisyi z dwóch przynajmniej członków złożonej, z rządem może pertraktować także prezes.

§ 22 postanawia, że zmienić można statut tylko na posiedzeniu, na 3 dni zapowiedzianem.

Burza w parlamencie węgierskim.

Ostatnie posiedzenia parlamentu węgierskiego były tak „ożywione“, że nie powstydziłaby ich się nawet przedlitawska rada państwa. Nie brakło wiele, a obrady byłyby zamieniły się na formalną bitwę, raz nawet opozycya zbliżyła się do trybuny ministeryalnej z tak groźnie podniesionemi pięściami, że p. Koloman Széll i jego koledzy z cokolwiek podejrzanym pośpiechem opuścili salę obrad.

Przyczyną zatargu, jak prawie zawsze na Węgrzech, są nadużycia wyborcze.

Przy wyborach w miejscowości Maros-Vasarhely, władze liberalne nie zadowoliły się wywieraniem nacisku na urzędników i wyborców zależnych, lecz starały się ostudzić zapał opozycyi zapomocą bagnetów. Żandarmi jednak, którzy mieli tylko „utrzymać porządek“, t. j. zastraszyć i rozpędzić przeciwników kandydata rządowego, posunęli się tym razem w ferworze walki za daleko. Gdy uderzyli bagnetami na tłum opozycyjny, ten i ów, nie mogąc cofnąć się w natłoku, odepchnął na stronę mordercze narzędzie, a podobno nawet ktoś rzucił kamieniem do stróżów porządku publicznego. Żandarmi nie namyślali się długo. Zatrzymali się na miejscu i dali do tłumu kilka salw karabinowych. Na takie *dictum acerbum*, opozycya opuściła w poprochu pole walki. Zabitych i ranionych służba policyjna chwyciła za nogi i zawlokła po bruku do najbliższej bramy. Rozumie się, że wybory po tem zajściu odbyły się bardzo spokojnie.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

O, widzi pan — tu jest książka z adresami — tu zapisani są ci, którzy po pierwszej przesyłce odpowiedzieli — są i tacy, którzy w poczuciu wdzięczności, czy obowiązku przysłali pewną kwotę, jako wynagrodzenie — a tu jest niejako księga główna: nazwiska i adresy uczących się dzieciaków, które już mi przysłały listy. Doprowadzę do tego, że regularnie co dwa tygodnie, lub niechby co miesiąc wreszcie, każde z tych dzieci będzie mi dawało znać o swych postępach w nauce".

Niezmierne ożywienie mówiącej, jej przejęcie się tematem, który widocznie koncentrował jej myśli — oddziałało i na Beńkowskiego. Chłopak się ożywił, rozgadał — po raz pierwszy czuł, że znalazł jakąś bratnią, pokrewną duszę, która — choć na innem polu pracuje — jest mu bliską i życzliwą.

Rozmowa wkroczyła na szersze tory. Beńkowski opowiadał dużo o młodzieży, o obojętności ogółu i usiłowaniach jednostek, trochę o sobie w związku z wypadkami Siekierzyńskimi, a gdy widział, że znajduje chętną słuchaczkę w pani Mączyńskiej, język mu się rozplątał, zapał rozognił lica i mówił o wielkiem posłannictwie społeczeństwa młodych, którzy czują potrzebę oddziaływania na całą młodzież, budzenia w niej uśpionego lojalnością ojców patryotyzmu...

Mówił o tych młodych, którzy — nie wiedząc o sobie nawzajem — budzić chcą młodzież w imię dawnych mickiewiczowskich haseł, — o niezliczonych trudnościach do zwalczenia, o chwilach zwątpienia i o słodkich dowodach, że ziarno kiełkuje — —

Myśl jego stopniowo się rozpalała i obejmowała coraz szersze widnokręgi: są charaktery twórcze, w których dopiero pierwszy, chociaż najlżejszy objaw uznania, roznieca zdolności i myśl do lotu sposobi.

Dla pani Maryi to, co mówił — było czemś nowem, czemś prawie niesłychanem.

„Powiada pan — wtrąciła — że wśród całej młodzieży naszej jest może najwyżej kilku, lub kilkunastu, którzy tak czują i myślą, jak pan. Któż ich myśli skierował w tym kierunku? Kto ich nauczył tej walki przeciw istniejącym warunkom naszego społeczeństwa? Przecież musiał być ktoś, co kazał się otrząsnąć z utylitarnych formułek, których uczy starsze pokolenie?"

„Kto obudził, pyta pani? — A czy pani pyta, kto każe drzewom kwitnąć, gdy nadejdzie wiosna? Pokolenie naszych ojców, które dziś stoi u steru spraw społecznych, wychowało się i żyło w lojalizmie: ono „ody do młodości" Mickiewicza nie odczuło sercem, lecz stało przy niej ze skalpelem w ręku i oceniało ją, jako dokument ważny z punktu widzenia krytyki literackiej. A my ją czujemy sercem — jako pobudkę, jak pierwsze tchnienie wiosennego wiatru czują zapewne drzewa, gdy chcą puścić pierwsze pędy listków. Tamto była zima — teraz nadchodzi wiosna, odrodzenie! Tego nikt nie budzi — to przychodzi samo".

Czarne, wielkie oczy pani Maryi rzuciły Beńkowskiemu spojrzenie, w którem on mógł się doczekać pół zachwytu i zainteresowania, pół serdecznej przyjaźni.

„Niech pan mówi, niech pan mówi dalej" rzekła adwokatowa, widząc, że Beńkowski przerwał. „Mnie to wszystko zajmuje. — — Niech mi pan o wszystkiem tak mówi, jakbym była pańską starszą siostrą — —."

A on wtedy tem dobrem jej słowem ośmielony, spowiadał się jej ze wzruszeniem z tych wszystkich przykrości, których doznał zewsząd, z tych zarzutów, które spadły na niego i na chwilę zachwiały jego wiarę w samego siebie. „Czyż ja szkodę wyrządziłem kolegom, gdym ich zachęcał do zajmowania się literaturą polską, do czytania naszych autorów? — A jednak w chwili stanowczej wszyscy byli przeciwko mnie — i nie znalazł się nikt, ktoby mi powiedział, że po dobrej idę drodze".

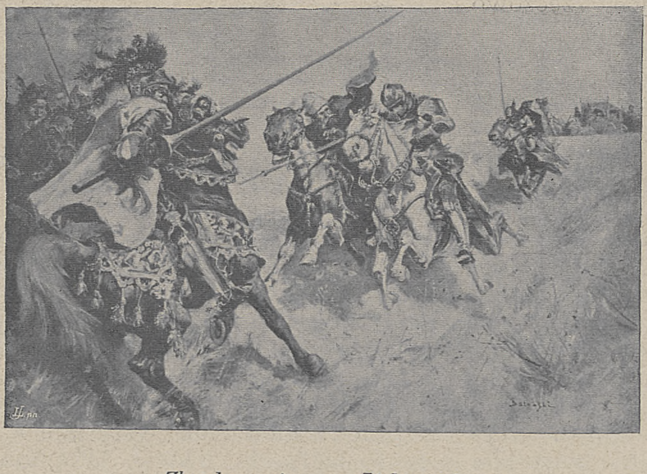
Przy tych słowach głos mu drżał, jakby w nim były łzy. Zapanowała chwila milczenia. Potem pani Marya podała mu rękę i rzekła poważnie: „Po dobrej — po dobrej", a on ze łzami w oczach pochylił się do tej ręki i złożył na niej pocałunek długi, gorący.

Przy obiedzie zauważył Staś, że pani Marya nie wspominała mężowi ani słowem o ich rozmowie. Spostrzeżenie to było mu wielce przyjemne. Czuł instynktowną niechęć do adwokata, gdyż nie mógł się pozbyć ujemnego wrażenia pierwszej z nim rozmowy — i cieszył się, że jest kwestya, tak blisko obchodząca jego i piękną adwokatową, co do której, jej mąż ma być skazany na nieświadomość.

Adwokat był w wybornym humorze. Opowiadał o jakiejś tranzakcyi lasami, którą z wielką dla siebie korzyścią załatwił w imieniu swego klienta. Chodziło o jakiś sporny objekt między krewnymi. Podczas gdy adwokat szeroko o tem opowiadał, Staś spoglądał na jego żonę, dopatrując na jej twarzy jakiegoś śladu znudzenia, lub niezadowolenia, któryby mu dowiódł, że ten płaski materyalizm męża ją ranił. „I ten człowiek jest mężem takiej kobiety" myślał, słuchając opowiadania o tem, jak owi krewni z początku na sprzedaż i podział kwoty, zgodzić się nie chcieli.

Potem toczyła się rozmowa o polityce i stosunkach polsko-niemieckich. I tu, zdaniem Stasia, adwokat dał dowód braku jakiegośkolwiek idealizmu, jakichś wyższych porywów.

Illustracye K. Batowskiego do powieści „Krzyżacy", H. Sienkiewicza:



Zbyszko naciera na Lichtensteina.



Wici! Wici!

„Gdy patrzę na naszą politykę i ludzi, którzy nią kierują, mówił adwokat, przypomina mi się zawsze ta scena w domu waryatów z „Nieboskiej komedyi". U nas zupełnie to samo. Patrzcie tylko na przedstawicieli opinii publicznej, na ludzi stojących na świeczniku wogóle. Wszyscy się kierują jedną i tą samą zasadą: postąpienia i głoszenia haseł wręcz sprzecznych z zapatrywaniami przeciwnika. Same krańcowości, które dochodzą do absurdów. Jedni chcieliby wytrzeć całą inteligencyę i warstwy pochodzenia szlacheckiego, bo to „historyczny balast", który przeszkadza rozwojowi ludu, — inni, zapatrzeni w swe szlacheckie klejnoty, jedyne zbawienie ojczyzny widzą w powrocie do wspólnej własności rodowo-szlacheckiej. Jedni sądzą, że oddają przysługę społeczeństwu, padając plackiem przed osobą arcybiskupa, a ich przeciwnicy nie mają słów dość silnych, aby z nim polemizować i wpływ jego na społeczeństwo ograniczyć. Jedni ulegli rządowi pruskiemu, jak baranki — inni radykalni, jakby wstrząsnąć mogli podstawami całej rzeszy niemieckiej. A nigdzie rozsądnego programu, nigdzie prawdziwej polityki, wszędzie zaś doktryneryzm najgorszego gatunku. Istny dom waryatów".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poznawajmy się.

Dwór szlachcica rosyjskiego w pierwszej połowie XIX wieku.

(Ustęp z pamiętników I. M. Niewierowa.)

(Dokończenie).

Pamiętam doskonale jeden wypadek: matka pułkownika Korsakowa, który się wychowywał w domu Koszkarowa, Awdot'ia Iwanowna, mieszkała w sąsiedniej wiosce, o trzy wiorsty od Weriakusz i co święto przychodziła piechotą do cerkwi; po mszy robiła wizyty we dworze dla odpoczynku i wypicia szklanki herbaty. Pewnego razu Koszkarow zwraca się do niej z pytaniem: „a czyście wy słyszeli, Awdot'io Iwanówno, że mamy teraz wojnę? Może i nasi t. j. Korsakow i synowiec „barina" teraz walczą?„ „Nie, batiuszka, nie słyszałam". A jakże! Dzienniki piszą o tem. Ej, Feokista! a przeczytaj-no o wzięciu fortecy Szerszawińskiej.

Był to humorystyczny opis pozbawienia dziewczyny niewinności, który Feokista Siemionówna wydobywała z portfelu i poważnie, uroczyście czytała głośno. Opis kończy się frazesem: „nareszcie nieprzyjaciel wszedł do fortecy, a z tylnego bastionu dał się słyszeć wystrzał." Przy tych słowach biedna staruszka poczynała żegnać się nabożnie, powtarzając: „Boże! Ile krwi się wylewa!" Publiczność słuchająca wybuchała zwykle głośnym śmiechem, a Koszkarow tłumaczył staruszce, że to opis wojny z Francuzami, teraz zaś wojny nie ma i tem uspokajał biedną matkę, zaniepokojoną losem syna. Wszystkie te dwuznaczne piosnki i dyalogi śpiewały i powtarzały dziewczęta bez żadnych oznak wstydliwości — czemu się zresztą dziwić nie należy. Raz na tydzień Koszkarow chodził do łaźni, a wówczas cały harem obowiązany był towarzyszyć mu; dziewczęta zaś, które wychowawszy się w innej sferze, nie zdołały jeszcze do nowego trybu życia przyzwyczaić się, objawiały przeto wstydliwość — „stante pede", w łaźni dostawały cięgi. Wogóle dla dziewcząt Koszkarow był bardzo surowy, z męzką zaś usługą łagodny i dobry, ale niekiedy i tutaj surowość objawiała się w sposób najdzikszy.

Z grona dziewcząt haremowych, jedna, która niedawno została do łask pana dopuszczoną, Afimia, bardzo się podobała koniuszemu Fiodorowi, który bywał zwykle bardzo dobry dla niej. Fiodor zdecydował się wykraść ją i uciec, gdyż nie było innego sposobu zbliżenia się. Zakochani porozumiewali się ze sobą tylko tajemnie zapomocą korespondencyi, a nie mieli sposobności bodaj chwilki ze sobą porozmawiać. Ponieważ Fiodor zarządzał stajnią i stadniną, porozumiawszy się z Afimią, zaprzągł trójkę dzielnych koni, podjechał z tyłu domu i zatrzymał się przed tylną stroną wychodka haremowego. Front wychodka, urządzonego w formie namiotu, zwracał się ku gankowi haremowemu. Fiodor postanowił wyłamać deskę z tylnej ściany wychodka, porwać Afimię i uciec. W haremie panował taki zwyczaj że dziewczęta chodziły do wychodka po dwie, nie inaczej, i to pod dozorem Matrony Iwanówny, która, stojąc na ganku, oczekiwała powrotu hurysek. Tym razem Afimia, zasłoniwszy się gwałtowną potrzebą, wyszła sama, wysunęła się otworem, zrobionym przez Fiodora, siadła i odjechała. Matrona czekała na nią pięć, dziesięć minut — nareszcie zaczyna krzyczeć: „Afimia! Wychodź! Co się z tobą stało?" Afimia nie wychodzi. Powstał hałas, zbiegli się ludzie, wysadzili drzwi od wychodka, a spostrzegłszy otwór, domyślili się ucieczki. Dano znać Kaszkarowowi. Wyszedł nakaz zabrać ze stajni wszystkie konie i urządzić pogoń w różnych kierunkach. Rano winowajcy byli już z powrotem. Afimię natychmiast wysieczono mocno rózgami, a potem posadzono za karę na t. z. „stolec". Jest to jedna z najdzikszych kar, mało komu znana zapewne, i dlatego opiszę ją.

Na szyję winowajczyni wkładano szeroką żelazną obrożę, zamykaną na klucz, starannie przechowywany przez dozorczynię haremu, Matronę Iwanówną; do obroży przymocowany bywał łańcuch, zakończony ogromnym dębowym klocem. Jakkolwiek można było podnieść go z wielkim trudem, ażeby przejść z miejsca na miejsce, ale zwykle działo się to przy obcej pomocy. Obroża była garnirowaną żelaznemi szpicami, które uniemożebniały pochylenie głowy, tak że zwykle musiała siedzieć nieruchomie; na noc, dla ułatwienia jej przedrzemania się, podkładano pod tylne szpice poduszkę. Instrument ów przechowywał się w komnacie haremowej. Sam akt egzekucyi odbywał się w haremie, przy zamkniętych drzwiach rano, przed herbatą, jak wszystkie rozrachunki z dziewczętami.

Po dokonaniu sprawiedliwości nad biedną Afimią, przyszła kolej na Fiodora. Po herbacie i po modlitwie porannej stawiono go przed oknami gabinetu „barina". Koszkarow stanął przy oknie i począł najobrzydliwszemi wyrazami łajać go, potem krzyknął: „hej, ludzie! nahajów!" W momencie stanęło kilku uzbrojonych należycie i natychmiast przed oknami rozpoczęła się straszna „egzekucya". Koszkarow, stojąc przy oknie, pokrzykiwał zachęcająco: „wal go! wal silniej!". Trwało to dość długo. Nieszczęsny z początku strasznie krzyczał i jęczał, potem głos jego był coraz cichszy, nareszcie zamilkł Egzekutorowie zatrzymali się. Koszkarow groźnie zawołał: „czegoście się zatrzymali? Walcie go!" "Nie można" — odpowiedzieli — „umiera". Ale to bynajmniej nie powstrzymało wściekłości Koszkarowa. „Hej, chłopcze! Przynieś łopatę!" — krzyknął. Trzeba zauważyć że przed oknami jego stał wielki żłób, przy którym karmiono t. z. rozgonne konie, a teraz właśnie, z powodu pogoni za Fiodorem, wszystkie konie stajenne jadły tu owies. Uformowały się przeto dość wielkie kupy końskiego gnoju. Gdy chłopiec przyniósł łopatę, Koszkarow zakomenderował: „nabierz gnoju!" chłopiec polecenie spełnił; potem komenda brzmiała dalej: „rzuć w twarz temu łotrowi i precz z przed moich oczu!"

Po tych słowach ja, patrzący na to wszystko przez okno, i płacząc, gdyż żal mi było niezmiernie biednego Fiodora, byłem do tego stopnia wzburzony barbarzyństwem, na które patrzałem, że wyrwałem się z rąk, trzymającej mnie dziewczyny Nastasii, co zakrywała mię przed Koszkarowem, ażeby łez moich nie widział, z zamiarem uderzenia go w twarz. Nastasia odciągnęła mię w stronę i odprowadziła do innego pokoju. Koszkarow dostrzegł jednak mój ruch dziecinnego gniewu ku niemu i zapytał: „co się z nim stało? Czego on się tak boryka?" Nastasia powiedziała, jakobym pragnął prosić przebaczenia dla Fiodora — i na tem się wszystko skończyło. Scena ta wywarła na mnie tak wstrząsające wrażenie, że od tej chwili ręka moja przez całe życie została

nieskalaną. Dotykała ona ludzi i zwierząt nie inaczej, jak tylko z miłością. Zapewne owe sadzanie „na stolcu“ powtarzało się częściej — tylko ja nie byłem tego świadkiem i dlatego w pamięci mojej utkwiła smutna sprawa z Afimią. Co się stało z biednym Fiodorem — niewiem, gdyż nigdy później już go nie widziałem. Wiem tylko, że długo chorował, a wyzdrowiawszy, wysłany został zapewne do innej wsi, lub może umarł. Afimię widywałem miesiąc a może dłużej przykutą do swego „stolca“, gdyż odsiadywała karę w haremie, dokąd, jako dziecko, miałem wolne wejście. Następnie wykluczono ją z liczby dziewcząt haremowych i zabrano do tak zwanej „czarnej roboty“. Pamiętam ją, jak w prostem chłopskiem ubraniu, z miotłą w ręku, zamiatała dziedziniec swego „barina“ ludożercy. Mieszkała zaś u wuja swego, ogrodnika. Dalsze jej losy nie są mi znane.

Powiedziałem już, że stosunek Afimii z Fiodorem nawiązał się drogą tajemnej korespondencyi, gdyż dziewczęta pozbawione były wszelkiej sposobności innego porozumiewania się z usługą męzką. Do rodziny i krewnych nigdy ich nie wypuszczano z haremu pod żadnym pozorem, lecz wolno było przyjmować ich odwiedziny w ogólnej komnacie królewskiej i to z tem zastrzeżeniem, że jeżeli to byli mężczyźni, rozmawiać wolno było w obecności Matrony Iwanówny. Dziewczęta uczęszczały wprawdzie do cerkwi, chodziły na spacer do ogrodu, lecz nie inaczej, jak pod dozorem Matrony Iwanówny. W cerkwi miały wyłączne dla siebie miejsce. Korespondencya zaś pisemna odbywała się w ten sposób że dyżurni lokaj i dziewczyna, stojąc każde przy innych drzwiach, mieli już przygotowane karteczki. Oddawano je wówczas gdy wypadła potrzeba wręczyć lokajowi filiżankę, lub szklankę, wsuwając do ręki i wymieniając szeptem nazwiska, dla kogo były przeznaczone. Tajemnicy obie strony dochowywały zwykle nader pilnie, gdyż leżało to we wspólnym interesie. Chociaż nie tylko we wsi, lecz i w domu „barskim“ nie było szkoły, lecz większość służby dworskiej, a wszystkie prawie dziewczęta uczyły się czytać i pisać — po prostu dla zabicia czasu. — Posiadały one do swojej dyspozycyi dość ładną bibliotekę z dzieł treści belletrystycznej i czytały chętnie.

Dziewczęta obowiązane były umieć czytać i pisać, gdyż bez tego nie mogłyby być lektorkami Koszkarowa i partnerkami jego do partyi wista, a dlatego każda wstępująca do haremu, uczyła się natychmiast czytać i pisać od koleżanek. Żadnej szkoły zorganizowanej nie było, lecz rolę nauczycielki spełniały wolne od zajęć koleżanki i nauka szła prędko. Dla służby męzkiej znajomość „hramoty“ obowiązującą nie była, ale nie można było otrzymać wyższych urzędów dworskich — na kamerdynera, koniuszego, łowczego, marszałka dworu itp. — bez znajomości sztuki czytania i pisania. Wogóle dziewczęta były zawsze oczytane i rozwinięte, bardzo ładnie ubrane i pobierały gażę tak samo, jak usługa męzka, a niezależnie od tego prezenty w dni świąteczne. Ubierały się oczywiście nie, jak włościanki, lecz wzorowały się na europejskich kobietach. Po pewnym czasie służby haremowej wydawano je zamąż za wysłużonych lokajów i obdarzano posagiem. Tylko za ciężkie przewinienie wydalano je z haremu, zwracano rodzinie z zabronieniem noszenia „pańskiego ubrania“, lub też degradowano „do kuchni“, do „czarnej roboty“.

Dalszą część pamiętnika opuszczamy, gdyż przedstawia ona więcej materyału dla rosyjskiego badacza i historyka, niż dla nas.

Stanisław Barącz.

ŚMIERĆ.

Cicho, jak światło i ciemność w dal niezmierzonych obszarów,
Idzie bezwładnie wciąż naprzód, miarowym chodem zegarów.
W twarzy jej pięknej, wciąż młodej, zmęczonej wiecznem cierpieniem,
Uśmiech anielskiej litości igra z nadziemskiem marzeniem

O światach jeszcze nieznanych Idąc zamknięte ma oczy
I wielki spokój na czole we wieńcach siwych warkoczy.
Siwe jej szaty; przed sobą czarny ma przetak; z przetaku
Wciąż czerpiąc, sieje dokoła garście siwego ziarn maku.

Z cichym szelestem mak sypki, mak siwy pada powoli. —
Gdzie padnie, cisza ogromna, kamienna cisza na roli;
Gdzie padnie, płynie sen smętny, sen niezbłagany, sen szary

I chłonąc w sobie kszałt wszelki, ogarnia życia bezmiary.
A ona idzie wciąż naprzód, idzie bez chwili wytchnienia
I sieje, sieje, wciąż sieje mak wieczystego milczenia.



Stanisław Sierosławski.

Okno naprzeciw.

Spojrzałem na niego i mimowoli zamilkłem.

Starzec zbladł, ręce drżały mu nerwowo, grube krople potu wystąpiły mu na czoło.

— Co panu się stało? — spytałem zdziwiony jego nagłą słabością.

Nie odpowiedział i starał się ukryć pomięszanie. Widziałem, jak przymuszał się, aby przezwyciężyć drżenie, wstrząsające jego ciałem.

Przez chwilę milczeliśmy obaj.

Potem zaczął mówić, siląc się na spokój:

— Dziwi się pan mojemu rozdrażnieniu, zapewne. Ale opowiadaniem swojem szarpnąłeś pan może najczulszą strunę mojej duszy, rozdarłeś stare rany, które nigdy nie mogą się zabliźnić.

— Chciej mi pan wierzyć, że gdybym był mógł przypuścić...

— Ależ nie mam żalu do pana. Nie, nie mogłeś wiedzieć, że opowiadanie to będzie dla mnie tak bolesne. Zupełnie przypadkowy zbieg okoliczności. Zresztą i bez tego często wracają te wspomnienia i nieraz tak mnie dręczą, że nie mogę panować nad sobą.

Nie bez wielkiego zaciekawienia myślałem o tem, co w opowiadaniu mojem mogło go tak poruszyć, jaki mógł być związek między jego życiem a wypadkiem miłosnego mordu, o jakim mówiłem. Pytanie cisnęło mi się na usta, ale milczałem, aby nie być natrętnym i to jeszcze w takiej chwili, kiedy cała jego istota widocznie cierpiała.

Musiał odgadnąć moje myśli, bo mówił dalej, spokojniejszym już głosem:

— Nie rozumiesz pan mojego wzruszenia i nie dziwię się temu zupełnie. Ale gdybyś znał moje życie, wiedziałbyś, co się ze mną działo przed chwilą, kiedy rozbudziłeś dawne wspomnienia. Z życiem mojem wiąże się wypadek podobny do tego, o którym mówiłeś. Mogę powiedzieć, że właśnie ten wypadek zniszczył i wykrzywił moje życie, rozumiesz pan zatem, że wspomnienia nie mogą być przyjemne.

— Jeszcze raz przepraszam, jeżeli mimowoli sprawiłem panu przykrość.

Patrzyłem na niego z coraz większem zdumieniem. Nie mogłem przypuścić, aby ten spokojny, cichy człowiek, którego oczy patrzyły na świat tak łagodnie, prawie smętnie, popełnił jakiś czyn gwałtowny. A jednak mówił, że życie jego ukształtowało się wskutek tego postępku. Cóż to być mogło? Błąkałem się wśród najrozmaitszych przypuszczeń, ale nie mogłem nic znaleść, coby choć w części tłómaczyło jego słowa.

— Tak, ta straszna chwila złamała moje życie — mówił, budząc się z zamyślenia — na mojem czole wyryła piętno mordercy.

Mimowoli wzdrygnąłem się i odsunąłem się nieco.

Zauważył mój ruch i uśmiechnął się smutnie.

— Nie patrz pan na mnie z takiem przerażeniem, to się już dawno stało, bardzo dawno, dzisiaj nie byłbym zdolny do takiego czynu... chociaż i dawniej zawsze byłem spokojny, łagodny... A jednak jestem mordercą, zabiłem człowieka.

— To być nie może — powtórzyłem — nie uwierzę temu nigdy.

— A jednak tak było. Nie słyszałeś pan nigdy o tem, bo stało się to już dawno, prawdopodobnie zanim jeszcze na świat przyszedłeś, stało się zresztą daleko stąd. Uciekłem tutaj, aby ukryć przed ludźmi piętno zbrodni wyryte na mojem czole, myślałem, że znajdę tu spokój, zapomnienie. Ale nie znalazłem go i nie znajdę pewnie już nigdy w tem życiu.

— I nie obawiasz się pan powierzyć mi tajemnicy swojego życia — rzekłem, aby cośkolwiek powiedzieć i zgłuszyć trwogę, która mną jeszcze ciągle miotała.

— Czego miałbym się obawiać? Ludzie osądzili mnie i wydali nademną swoje wyroki, sądu Boga, który zna i wie wszystko, nie lękam się. Byłbym może milczał dalej, aby uchronić się przed ciekawemi i pogardliwemi spojrzeniami ludzi, ale pan jesteś mi sympatyczny i wiem, że potrafisz odczuć grozę mojego życia, więc dlaczego miałbym się ukrywać? Opowiem panu wszystko, potem osądzisz mnie, a może znajdziesz nawet słowo współczucia.

Przysunąłem się bliżej ku niemu i niecierpliwie wyczekiwałem jego opowiadania.

— Jestem tu obcy, zresztą już samo nazwisko i akcent mojej mowy najlepiej świadczą o mojej narodowości. Dopiero od kilku lat mieszkam tutaj stale, przedtem długo bardzo tułałem się po świecie, błądziłem, jak Ahaswerus, po najdalszych krańcach ziemi, w ustawicznej zmianie szukałem zapomnienia i spokoju, chciałem zgłuszyć tę myśl straszną, która wszędzie nieodstępnie za mną kroczyła. W czasach mojej młodości mieszkałem w N... i tam się to stało.

Miałem wtedy lat dwadzieścia, byłem zamożny, nawet bogaty i miałem wszystkie warunki, aby stworzyć sobie życie szczęśliwe i przyjemne. Takiej przyszłości, jaka teraz przypadła mi w udziele, nie spodziewałem się nigdy. Ale niezgłębione są zrządzenia Boże.

Wszystkie moje siły poświęcałem nauce, zyskiwaniu wiedzy. Ona była jedyną moją kochanką, poza nią nie istniały dla mnie żadne rozkosze, żadne przyjemności. Wtedy nie znałem jeszcze kobiety, uczucie miłości było dla mnie czemś obcem, śmiesznem niemal. Nie uśmiechaj się pan tak szyderczo. Matka odumarła mnie wcześnie, a ojciec zdziwaczał po jej śmierci i takim go zawsze pamiętam. Mimo zamożności prowadził żywot pustelniczy, przesycony jakimś religijnym mistycyzmem. Radość, wesołość były czemś obcem w naszym domu, który raczej klasztor przypominał. W takiem otoczeniu spędziłem lata mojej młodości, przyzwyczajając się wcześnie szukać w życiu powagi i głębi, a gardzić błahemi rozkoszami chwili. To wychowanie nie mogło pozostać bez wpływu na mój wrażliwy umysł, a że ojciec oprócz tego był bezwzględnym wrogiem kobiet, więc i tę nienawiść częściowo na mnie przeszczepił. Przyzwyczaiłem się uważać kobietę tylko za zaporę i przeszkodę w pracy, zdawało mi się, że człowiek tylko wtedy może się doskonalić, kiedy wyrzeknie się wszelkich uczuć erotycznych. Panu wydaje się może śmiesznem to, co mówię, dla mnie było to wówczas jedną z najpoważniejszych zasad życia.

Mieszkałem przy jednej z bocznych ulic, w pięknym, starodawnym domu, gdzie prócz mnie i mojego starszego sługi nie było żywej duszy. Pokój do pracy urządziłem sobie od strony ogrodu, aby gwar ulicy nie przeszkadzał mi w pracy, a w sypialni, która leżała po przeciwnej stronie domu, i której okna wychodziły na przeciwległe domy, spędzałem tylko tyle godzin, ile trzeba było koniecznie, aby znużony umysł wypoczął po całodziennem natężeniu. A udawałem się na spoczynek bardzo późno, nieraz brzask nowego dnia zastawał mnie jeszcze przy pracy.

Prawie przez cały rok żyłem w ten sposób, odosobniony od świata zewnętrznego skupiony w sobie. Wiedza dawała mi zadowolenie i szczęście, nie pragnąłem niczego więcej. Może i dzisiaj jeszcze prowadziłbym spokojne, zamknięte w sobie, samotne życie nauki, gdyby się to nie stało.

A stało się tak.

Pewnego wieczora czułem się bardziej znużonym, niż zwykle, i dlatego wcześniej poszedłem do sypialni. Zacząłem się rozbierać i przypadkiem spojrzałem przez okno. Zdziwiłem się, widząc światło — w oknach przeciwległego domu. Zwykle gdy udawałem się na spoczynek, wszystkie światła były już pogaszone, a cała ulica spoczywała w głębokim śnie, dlatego też zdziwienie moje łatwo — można wytłómaczyć. Nie wiem, dlaczego zacząłem się wpatrywać w oświetlone okna. Szczególnie jeden pokój zwrócił moją uwagę. Wysoka lampa, przyćmiona zielonym abażurem, rzucała dokoła mdłe, ale bardzo miłe światło, które przyjemnie działało na moje oczy, zmęczone długiem czytaniem.

Zrazu zdawało mi się, że niema nikogo w pokoju, później skoro oswoiłem wzrok ze światłem, dostrzegłem dwoje ludzi siedzących obok siebie. Powoli rozpoznawałem coraz lepiej; mężczyzna i kobieta siedzieli wprost mojego okna. Obejmował ją wpół ramieniem, głowa jej spoczywała na jego piersiach. Patrzyłem na to dość obojętnie. Nagle jednak drgnąłem. Widziałem wyraźnie, jak ją całował i jakiś dziwny dreszcz przebiegł moje ciało. Chciałem się otrząsnąć z tego wrażenia, ale naprożno; oczy moje ustawicznie zwracały się w tamtą stronę, wpatrywałem się w siedzących bezmyślnie, a jednak drę-

czony jakiemś uczuciem, z którego nie umiałem sobie zdać sprawy.

Nie wiem, jak długo stałem przy oknie, dopiero, kiedy światło zgasło, podszedłem, jak nieprzytomny, ku łóżku i upadłem na nie, szarpany dreszczami gorączki.

Owej nocy nie mogłem spać, ciągle widziałem przed sobą tych dwoje ludzi, złączonych miłosnym uściskiem. To znowu zdawało mi się, że jakieś płonące usta błądzą po mojej twarzy i wżerają mi się gdzieindziej, bezmyślnie przerzucałem karty książki, nie rozumiałem ani słowa. Napróżno starałem się skupić uwagę, ustawicznie wracały wizye i sny nocy, wprowadzając nieład i zamięszanie w mój przemęczony mózg. Straciłem chęć do pracy, daremnie zmuszałem się, szamotałem się sam z sobą przez cały długi dzień. Skoro nadszedł wieczór, opanowała mną tylko ta myśl, aby patrzyć na nich, na ich pieszczoty i pocałunki. Wiedziałem, że szaleństwem jest to, co robię, a jednak mimo wszystko poszeanalizować każdą, jaśniejszą myśl, aby uświadomić sobie, co się ze mną dzieje. Ale mózg mój, dotychczas trzeźwy i wyćwiczony w rozumowaniu, pracował teraz zupełnie błędnie. Niby maszyna, której trybom nadano błędny kierunek. Myśli zamiast szeregować się logicznie, przeskakiwały z szaloną szybkością z jednego przedmiotu na drugi, obalały się i niszczyły wzajemnie, to czepiały się jakiegoś urojenia i wyolbrzymiały je do nieskończonych rozmiarów, to niknęły nagle, pozostawiając

Z PANORAMY W. KOSSAKA i FAŁATA: „BEREZYNA“.



Jazda francuska, przeprawiająca się przez Berezynę 28. listopada 1812.

w wargi, zrywałem się rozdrażniony, odpychałem urojone pocałunki, to czułem miękkie dotknięcie kobiecego ciała, uściski drobnych, drżących dłoni. Przez całą noc męczyłem się strasznie, a kiedy wreszcie świt rozbłysnął na niebie, wstałem zmęczony, drżący gorączką nocy. Ubrałem się i zasiadłem do pracy, bo spodziewałem się, że w ten sposób najłatwiej uspokoję wzburzone nerwy. Ale myśli moje błądziły dłem do okna i stałem przy niem długo, bardzo długo. I znowu szarpały mną dreszcze gorączki, znowu przez całą noc dręczyły mnie straszne, obłędne sny.

Kilka dni następnych spędziłem wśród nieustającej męki. Po udręczeniach nocy następowały katusze dnia, straszniejsze, bo na jawie. Zdawałem sobie z tego sprawę, że umysł mój przechodzi jakieś dziwne, przeobrażenie, jakąś chorobę, starałem się w mózgu olbrzymią, bolesną próżnię. Głowa ciągle płonęła gorączkowym żarem, a mózg skrzypiał wśród tych straszliwych zapasów i sprawiał mi przenikliwy ból.

To jedno tylko uświadamiałem sobie, że treścią wszystkich moich myśli, wszystkich snów, była kobieta... kobieta, jako przedmiot pożądania.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Jan Stella-Sawicki.

ALGERYA.

(Dokończenie).

Na drugi dzień rano o g. 6 przybyliśmy do Turgurtu. Mnóstwo koni osiodłanych, z cuglami, zarzuconemi na siodła pasło się na małej łączce za miastem, pod cieniem palm, nikt ich niestrzegł. Zdziwiony, zwróciłem się z zapytaniem do Ayeda, coby to znaczyło.

— Widać, że jakaś karawana przybyła z południa i zatrzymała się dla zakupna żywności, lub dla zamiany produktów.

— Ależ te konie, przez nikogo nie strzeżone, mogą być ukradzione.

— Nie panie, niema żadnej obawy, bo koń arabski nie dopuści do siebie obcego człowieka, zabije go i pokąsa a wziąć się nieda.

— Konie jednak nie przywiązane mogą się rozbiedz.

— Nasze konie są tak przyzwyczajone do głosu swego pana, że jak tylko usłyszą wołanie, lub świst jego, natychmiast same przybiegają.

Rzeczywiście w Tuggurcie znaleśliśmy karawanę idącą z Tunisu do Marokko. Omar kupił sobie śliczny jedwabny haik, ja zaś kupiłem fez turecki, bardzo dogodny do podróży. Kupcy wzięli z sobą wielką ilość pachnideł żibety i piżma, to ostatnie coraz to więcej wtedy wchodziło w użycie kobiet arabskich.

Między Tuggurtem i Tmassinem napotkaliśmy wielkie stado gazelli, a że konie i wielbłądy nasze, nie były jeszcze zmęczone, zapolowaliśmy na nie. Było nas pięciu konnych. Poleciwszy ludziom z wielbłądami posuwać się powoli, rozdzieliliśmy się na części i skierowawszy się w różne strony, jechaliśmy za piaszczystemi pagórkami, starając się przeciąć drogę odwrotu stadu całemu. Gdy już zdawało się, że mamy je w ręku, puściliśmy się, co koń wyskoczy, na biedne zwierzątka. Omar pierwszy wystrzelił z długiej swej strzelby i chybił, a nawet cotylko nie zleciał z konia, straciwszy równowagę. Ja i Ayed pospieszyliśmy dać po jednym strzale z rewolwerów, ale także spudłowaliśmy, bo byliśmy zadaleko, jedna tylko gazella została zastrzelona przez sługę Omara. Sługa ten szczęśliwy podjechał do Omara i całując go w rękę, zaklinał się na wszystko, że to nie on zabił gazellę, tylko Omar. Pobożne to kłamstwo młodzieniec przyjął z wielkiem zadowoleniem bo darował słudze stary swój haik jedwabny, z którego ten był niezmiernie ucieszony. Całe stado odbiegło kilka kilometrów w stronę i zatrzymało się dla odpoczynku. Po naszem, niezbyt fortunnem polowaniu, zadowolony z siebie Omar, zaproponował przed obiadem urządzić fantazyę. Stanęliśmy wszyscy w linię i na dany znak puściliśmy konie naprzód. Ayed i słudzy Omara zaraz pozostali z tyłu, prawdopodobnie żeby się przypodobać młodemu synowi Kaida; pozostaliśmy tylko my dwaj współzawodnicy. Dzięki sile i rączości mego konia ja zwyciężyłem Araba w tym pojedynku, ale zwycięztwo nie zepsuło dobrej harmonii między nami, bo gdy wyścigi skończyły się, Omar rzucił mi się na szyję, mówiąc, że nigdy jeszcze nie był tak szczęszczęśliwy, nigdy tak mile czasu nie przepędzał. W czasie odpoczynku na oazie Nigussa, wysłaliśmy Ayeda do szejka Uargły, Ben Szeruma, prosząc o gościnność, bo tam miałem się pożegnać z poczciwym Omarem, który musiał wracać do domu.

Nad wieczorem, oczom naszym przedstawiała się piękna oaza Uargła oblana złotemi promieniami zachodzącego słońca. Szeik otoczony poważniejszymi mieszkańcami oazy, wyjechał na nasze spotkanie. Nie dojeżdżając do nas, lekko zeskoczył z konia, oddał go słudze do potrzymania, a sam poszedł piechotą. Był to młodzieniec lat dwudziestu czterech, lub pięciu, pięknej budowy, zręcznych ruchów i ślicznych rysów twarzy. Powitawszy nas w zwykły Arabom sposób, wskoczył na przyprowadzonego sobie konia i poprowadził do swego domu. Nie będę opisywał szczegółów przyjęcia, bo te nie wiele różniły się od przyjęcia, którego doznałem w Liszanie. Na drugi dzień pożegnałem się z Omarem, uścisnąwszy go po bratersku. Młodzieńcowi łzy stanęły w oczach, przyniósł mi na pamiątkę burnus arabski, haik i turban z wełny wielbłądziej, ja zaś darowałem mu piękny puginał z ładną rzeźbioną w rogu rękojeścią. Żegnając mnie, prosił „nie zapominaj o swoim bracie Janie". Bardzo byłbym ciekawy dowiedzieć się, co się teraz dzieje z bratem moim na pustyni i czy żyje on jeszcze. Przeprowadziłem go parę kilomctrów za oazę i obdzieliwszy sługi jego pieniężnym datktem, wróciłem do Ben Schruma i cały dzień przepędziłem w towarzystwie jego.

W Uargli zabawiłem dwa dni. Gorączka podróży, chęć obaczenia nieznanych krajów tak paliła mnie, że chciałem koniecznie puścić się na południowy zachód i dotrzeć stąd do Senegalu. Ben Scherum powstrzymał zapędy moje wiadomością, że za przejazd przez ziemię Tuaigów potrzeba zapłacić ogromny okup, a pieniędzy w monecie nie miałem wiele z sobą. Nolens volens potrzeba było wracać na północ.

W Uargle po raz pierwszy widziałem zaślubiny arabskie. Bardzo rzadko się zdarza, żeby młodzi ludzie nie widzieli się i nie porozumieli przed połączeniem. Wtedy to młodzieniec prosi ojca, aby mu wyswatał ukochaną osobę. Jeżeli ojciec uzna, że partya jest stosowną, posyła jednego z krewnych swoich, do ojca dziewczyny z zapytaneim, czy chce mieć syna jego za zięcia, i na jakich warunkach odda mu dziewczę w małżeństwo.

Po wzajemnej ugodzie, warunki te za pisują się u kadiego, czyli sędziego. Na drugi dzień krewni pana młodego i przyjaciółki jego rodziny idą do panny młodej, żeby jej powinszować i doręczyć dary. Panna, matka jej, krewne i przyjaciółki przyjmują poselstwo krzykiem ju, ju! oznaczającym radość i zdziwienie kobiet arabskich. Dary rozkładają się przed niemi na ziemi, kobiety rozpatrują je z ciekawością; im bogatsze i piękniejsze rzeczy — tem częściej powtarza się krzyk ju, a sąsiedzi mogą sądzić z tego o wspaniałości pana młodego. Po wieczerzy kobiety, zebrane u panny młodej, wychodzą z jej domut otaczają muzykantów, przysłanych przez pana młodego i zaczynają tańczyć. Mężczyźni chwytają za broń, wbiegają w środek tańczących i witają je, strzelając w powietrze. Wesołe towarzystwo przebiega oazę całą, powiększając się ciągle ciekawymi jej mieszkańcami. Nareszcie kobiety wracają do panny młodej, u której noc przepędzają, mężczyźni rochodzą się do domów.

Dzień drugi jest dniem porwania (vihar refude). Pan młody, odziany w najświetniejsze swe odzienie, w towarzystwie przyjaciół, ubranych po świątecznemu, wyjeżdża ze swego domu do domu panny młodej, żeby ją porwać, bo przyzwoitość nakazuje, żeby dziecko nie z własnej ochoty porzucało dom rodzicielski, ale — niby z musu, ustępując tylko przed siłą. Przyjaciele i krewni ojca panny młodej bronią jej, wstępują w zapasy, strzelają w powietrze, nareszcie po długiej walce ustępują przed panem młodym, który otacza dom swoim oddziałem. Narzeczona wychodzi z domu otoczona przyjaciółkami i krewnemi, wsiada na muła, lub wielbłąda, pokrytego bogatą makatą a dwaj murzyni prowadzą ją do domu męża. Dziewczyna nie żegna się ani z ojcem, ani z braćmi, bo uczucie wstydliwości nie pozwala stanąć przed nimi wtedy, gdy jej położenie towarzyskie zmienia się.

Narzeczony podjeżdża do niej, kładnie rękę na jej głowie i mówi: „Pani, niech Bóg mi pobłogosławi tobą, a warkocze włosów twych uszczęśliwią mnie. Następnie matka podchodzi do córki i mówi: „Wychodzisz z gniazda, w którem tak długo żyłaś, idziesz do człowieka, którego nie znasz, do towarzystwa, w którem żyć nie przywykłaś. Radzę ci być niewolnicą męża. Bądź zawsze zadowolona z małego. Zważaj na to, co on lubi i żeby oczy jego nie widziały złych uczynków twoich. Dopatruj jedzenia jego i pilnuj w czasie snu bo głód wzbudza gniew, a bezsenność — zły humor. Strzeż jego dobra, bądź łagodną z jego krewnemi i sługami; bądź niewną w jego tajemnicach. Gdy on wesół, nie okazuj smutku, gdy on smutny nie bądź wesołą, a Bóg cię pobłogosławi.

Z krzykiem, „Niech Bóg was błogosławi", całe towarzystwo odprowadza młodych aż do domu, do którego wchodzą tylko małżonkowie. Zaledwo drzwi domu zamkną się, podjeżdżają dwaj posłannicy (uzza) i w imieniu matki proszą pana młodego,o aby był łagodnym i delikatnym dla żony, Po odjeździe ich, młodzi małżonkowie udają się do domu. Wystrzały broni ręcznej i krzyk kobiet, rozlegają się wokoło.

W południe następnego dnia, młoda małżonka, bogato ubrana, rozpuściwszy włosy na plecach, siada na pysznym kobiercu i przyjmuje pozdrowienia i życzenia krewnych i znajomych swoich. Niewolnicy pana młodego wynoszą zebranym gościom kuskusu, pieczoną baraninę, daktyle, owoce różne i mleko, rozkładając to wszystko na plecionkach z palmowych liści.

Nic nie wiedziałem że w wigilją dnia przeznaczonego do odjazdu zawitała karawana do Uargły, idąc z Belad-el-Dżerid, to jest z ziemi daktylów w Innisie do miasta Fer, w cesarstwie marakońskim, a stamtąd przez Mekines do przymorskiego mia-

sta Rebatu, dokąd często zaglądają okręty portugalskie, dla zakupna daktyli i różnych wyrobów afrykańskich, lub dla zamiany swych produktów domowych na tutejsze.

Karawana ta, niechcąc narazić się na napad Tuaregów i niechcąc im się drogo opłacać, miała wyruszyć z początku na północ do El-Aghalu, a stamtąd na zachód. Mieszkańcy Uargły przyłączyli do karawany tej kilkanaście wielbłądów swoich z ładunkiem daktyll, Szeik oddał mi dowództwo nad tym oddziałkiem, aż do El-Aghalu, gdzie miałem ich pożegnać, dażąc wprost ku Algerowi. Tunetańczycy dowiedziawszy się kto jestem, przysłali deputacyę, prosząca żebym zrobił im zaszczyt i objął dowództwo. Ma się rozumieć, przysłałem, bo to mi nie zmiernie ułatwiało podróż.

Szejk w towarzystwie kilkunastu ważniejszych osób plemienia swego odprowadził mię konno o całą godzinę jazdy od Uargły. Tu, pożegnaliśmy się serdecznie zamieniwszy z sobą cały zapas komplimentów i grzeczności wzajemnych, Karawana, znajdująca się pod mojem dowodztwem, składała się z 86 wielbłądów i 16 koni. W karawanie były także kobiety w liczbie pięciu. Skierowaliśmy się między dwoma potokami, biegnącemi z góry Mardur i tonącemi w piaskach El Hamadzkiej pustyni, charakter tych źródeł był niezmiernie oryginalny, bo im bliżej byliśmy ich źródeł. tem w nich było wody więcej.

W ten dzień mieliśmy wypadek który nas przeraził okropnie. Jeden z Arabów idących obok wielbłąda piechotą, nastąpił na gadzinę stepową, niezmiernie jadowitą. Gad syknął z bolu i ukąsił nieszczęśliwego w łydkę. Gadzinę zabili inni, ale ukąszony zaczął wołać, aby mu dano ostry nóż dla wycięcia miejsca dotkniętego jadem. Podjechawszy. podałem mu brzytwą moją. Własną ręką Arab wykroił sobie przynajmniej pół funta mięsa, a następnie zawiązał ranę kawałem płótna, który mu dałem. Nic to nie pomogło. W kilka minut dostał drgawek, plamy czarne wystąpiły na całem ciele i w dziesięć minut później umarł nieszęśliwy. Biedak nie miał nikogo z krewnych, nikogo z blizkich wśród karawany. Zapytałem go, czy niema jakichkolwiek życzeń lub poleceń. Coś mówił, coś pokazywał rękami, alem go nie zrozumiał. Wykopaliśmy grób w piasku, usypaliśmy pagórek nad nim i każdy według arabskiego zwyczaju, rzucił jakąś szmatkę, lub kawłaek odzienia na mogiłę. Było to niedaleko oazy Gerdaja, do której na noc przybyliśmy. Po zachodzie słońca dały się słyszeć przeraźliwe wycia hyen, które zwietrzyły trupa i staczały z sobą walki wściekłe o posiadanie tego przysmaku.

Zaledwo słońce pokazało się od strony Mekki, po modlitwie porannej i śniadaniu dałem rozkaz do podróży i w godzinę później byilśmy wśród ładnego łańcucha gór Mazedż. Południowa strona jego była smutna, pokryta piaskiem i bezpłodnemi skałami. Za to na północnej odkryła się prześliczna dolina pokryta kwiatkami różnych barw. Dzień był jasny, spokojny i cichy. Droga nasza szła dwoma potokami, które z gór zbiegały, dążąc na północ.

Do oazy El Aghuat dobraliśmy się zaledwo na czwarty dzień po wyjściu z Uargły, robiąc przeszło dziesięć mil dziennie. Karawana zatrzymała się w stepie na nocleg, ja zaś pożegnawszy się z Arabami, z którymi już się zżyło w te dni kilka, pojechałem do oazy, gdzie znowu spotkałem się z garnizonem francuzkim, który mnie wziął pod opiekę swoją i przeprowadził do portu Aumale, skąd koleją żelazną dostałem się do Algeru.

Henryk Zbierzchowski.

Iwan Trusz.*)

Pejzaż, impresya — to pole, na którem rozwija się twórczość Trusza. We wstępie więc przedewszystkiem będę się starał określić, co wyczuwam pod impresyą w sztuce.

W naturze dzieją się rzeczy cudowne i dziwne.

Czy widzieliście kiedy zachód słońca w dzień pochmurny? Cała ziemia tonie w melancholii umierającego dnia; tam gdzie się tego najmniej spodziewano, pęka kir chmurnych zwałów i przez przeźroczyste skrzydła zmierzchu, przedzierają się nagle całe potoki brudnej, złowrogiej purpury. A wielka samotna chmura na krawędzi nieba dostaje dziwnych rumieńców, otacza się złotym rąbkiem światła i rzuca z poza siebie na pół nieba olbrzymie głownie w kształt świetlanych pasów. Dziwna hostya trzymana niewidzialnemi rękami nad dniem umierającym. I zaczyna się symfonia wieczoru. Liście drzew trzęsą się z jakimś cichym lękiem, w przeczuciu czegos co zaraz nastąpi..., O nocy ciemna, smutna i bezgwiezdna! jak pająk olbrzymi, gdzieś zza światów zasnuwasz niebo chmurnym mrokiem i lękiem napełniasz serca usypiających kwiatów!

Od pól i ugorów zbliża się powoli — dziwny i straszny pochód — jakaś siność przestrzeni, a przed nią rwie się ku niebu wiatr wieczorny Strasznie!! cała natura czeka na coś, co będzie wyzwoleniem, co pozwoli usnąć bez trwogi i drzewom targanym wiatrem, i kwiatom patrzącym z obawą na groźny pochód sinej przestrzeni i ptakom, co wtuliły już główki w pierze, a jeszcze od czasu do czasu, spoglądają na cichy, świąteczny lot nietoperzy.

Nareszcie!! Drzewa zakołysały się żywiej — wiatr ucichł i przypadł bez ruchu



IWAN TRUSZ.

w jar przydrożny, kwiaty rozpłakały się rosą w dziecinnej radości, a żaby uderzyły po łąkach i moczarach w wielki bijący chór: O, przyjdź, przyjdź kochanku nasz! z trwogą i utęsknieniem czekamy na twoje srebrne pieszczoty!

Groźna hostya blednie, szarzeje wsiąkając w mrok przestrzeni. Z przeciwnej strony nieba, poczyna się posuwać jakaś jasność srebrna, zielona i senna, aż w końcu wypada z chmur kula księżyca, rzucając na stęsknione drzewa, kwiaty i wody miękie, długie a ciche pocałunki. O, nocy jasna i miesięczna! jak cicho tulisz się do piersi matki ziemi i rozlewasz wkoło srebrny senny czar! Cyt! czy słyszysz oddech ziemi! jeszcze od czasu do czasu spadnie z dźwiękiem kropla rosy i zadzwoni w kielich kwiatu, liść drgnie przez sen i gwiazda cichutko spadnie w ciemny bór. Sen... sen...

W naturze dzieją się rzeczy cudowne a dziwnie; obok zjawisk zwykłych, codziennych, zrozumiałych dla wszystkich i koniecznych, odbywają się ciągle jakieś zdarzenia nadziemskie, pełne mistycznego czaru, skomplikowane i subtelne, które wyczuje tylko poeta, mocą tej wyższej danej mu przez bóstwo zdolności obcowania w najskrytszem, a najświętszem sanktuaryum natury. Dla rozkołysanej fantazyą duszy nie będzie wtedy miejsca do obserwacyi ścisłej. Zjawiska takie dadzą się tylko wyczuć, pierwsza fala wrażeniowa, choć niedokładna jeszcze i nieokreślona, jest dycedującą — ona jest łącznikiem między naszą duszą, a zjawiskiem, ona odtwarza nastrój pewnej chwili.

W taki sposób rozumiem impresyę.

Będzie to sztuka tworzenia najbardziej bezpośrednia a trudna bajecznie dlatego, że nie ma w impresyi szczegółów mniej, lub więcej ważnych; pozostaje tylko jedno wrażenie, jedna chwila niejasna, ale objawiona. Chodzi tu głównie o stopień odczuwania artysty a dalej, a dalej o zdolność narzucania tych samych objawień i wrażeń duszy widza. Jest to proces ogromnie skomplikowany, jeżeli przyjmiemy jeszcze za pewnik, że każda barwa odpowiada pewnemu tonowi uczuciowemu. Dlatego reguł żadnych stawiać nie można a intuicya artysty i widza, decydują o stopniu każdego wrażenia.

*) Iwan Trusz, jeden z najmłodszych malarzy naszej Akademii krakowskiej, urodził się w Wysocku (koło Brodów) w roku 1869 Ukończywszy gimnazyum w Brodach, udał się na studya malarskie do Krakowa, gdzie przepędził pięć lat. Po krótkim pobycie w Monachium, zniechęcony suchą niemiecką metodą nauki i stosunkami, w których łatwo bardzo można zgnuśnieć i stać się wiecznie studyującym artystą (rodzaj bursza niemieckiego), powrócił znów do Krakowa i tam skończył studya pod okiem Stanisławskiego. Po krótkim pobycie w Kijowie, osiadł Trusz na stałe we Lwowie.

Wogóle spotykamy między artystami wszystkich działów sztuki dwa zasadnicze typy. Pierwszy typ, to myśliciele z wzrokiem skierowanym zawsze w głąb własnej duszy, gdzie śledzą pilnie wszystkie najdrobniejsze nawet przejawy, ludzie w wiecznej pogoni za nieuchwytnym symbolem nie mogący nigdy rozeznać różnicy między zjawiskiem, a złudzeniem, skąd największe dla nich źródło pesymizmu. To poeci smutku, melancholii i gryzącej tęsknoty. Ci, jeżeli tworzą nawet coś jasnego, tęczowego, to będzie to sztucznem. przez pryzmat łez gorżkich i serdecznych przepuszczonem. Drudzy to ludzie, którzy odwracają wzrok od nocy, wypatrują wiecznie słońca — zakochani we wszystkiem, co piękne — poeci słonecznych zachwytów i cichej ekstazy, którzy wśród największego gwaru ludzkich burz i namiętności, przechodzą spokojni, szukając kwiatu paproci, albo lilij wodnych. Zachowali oni w duszy pewną dziecięcość i naiwność uczuć i wraz z św. Franciszkiem z Assyżu, układają tylko pieśni jasne, słoneczne:

Bądź pochwalony, Panie mój, ze wszystkiemi [twory
A w szczególności z panem braciszkiem słońcem,
Który dzień niesie i sobą nam świeci,
Jest piękne jasne i roznieca blask wielki
I twem, Najwyższy, jest wyobrażeniem.
Bądź pochwalony, Panie mój, przez braci [naszych, miesiąc i gwiazdy,
Któreś na niebie umieścił jasne i cenne i piękne
Bądź pochwalony Panie mój, przez braciszka [wiatr,
Przez powietrze i przez czas chmurny i pogo- [dny i jakikolwiek inny,
Któremi wszystkim stworzeniom dajesz [pokrzepienie.
Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrzyczkę [wodę
Która jest wielce użyteczna i pokorna i cenna i czysta
Bądź pochwalony, Panie mój przez braciszka [ogień,
Którym rozjaśnia się noc
I który jest urodziwy i krzepki i mocny
Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrę [ziemię
Która nas utrzymuje i żywi
I wydaje przeróżne owoce i kwiaty barwne [i zioła

(Przekład E. Porębowicza).

Kto doszedł już do takiego ukochania natury, dla tego każda trawka, każdy kwiatek polny, nie jest obojętnym, ten wie, że na szmacie metrowym łąki dzieją się rzeczy cudne i ciekawe: całe tragedye i sielanki mrówek i owadów, dla których ten kawałek łąki, jest borem olbrzymim i przepastnym, kretowisko górą niebotyczną, otwór pozostały po żerdzi do siana przepaścią, a mały zbiornik wody deszczowej jeziorem królewskiem. Wtedy wytwarza się między duszą ludzką, a duszą natury, tajemniczy i dziwny związek — natura odsłania ze swego oblicza tajemniczy welon Maji, a człowiek staje się uczestnikiem cudownych i nieprzeczuwanych misteryj. Na tym punkcie odbywa się najbliższe możliwe zbliżenie się człowieka do bóstwa, choć jeszcze zawsze jak na sławnym fresku Michała Anioła, między dłonią Wszechmocnego Boga, a proszącego człowieka, pozostaje niczem niezastąpiona przestrzeń.

Trusz ukochał naturę; zna on jej wszystkie tajniki i cuda; rozumie radość słonecznego południa, kiedy wszystko tonie w roztopionem złocie promieni i skrzy się brylantami iskier, odczuł rozmarzenie i czar wieczoru, kiedy na rozkołysanych łanach ułożą się fioletowe smugi światła, a cała natura popada w spokojną zadumę i ciszę, zna tajemnice drzew i kwiatów, dziwny czar moczarów leśnych, co kryje w swej głębi nieba kolory, mchów rdzawy odblask i drzew chwiejne odbicie. Trusz jest poetą słońca, drzew i kwiatów. Zapytany, dlaczego nie maluje nigdy postaci człowieka, tak jakby umyślnie unikał tego, co było treścią dzieł największych epok i najgenialniejszych mistrzów, odpowiada z uśmiechem: Człowiek na obrazie to „plama“ — Tak bardzo zakochanym jest w swoich liliach, dzwonkach i chryzantemach. A przytem ta olbrzymia intuicya w dobieraniu tematu i w pomysłach świetlanych.

Widzimy u niego rzeczy te same a więc kwiaty, łąki, moczary, a przecież zawsze całkiem inne, zawsze w innem oświetleniu i w innym momencie. Ta intuicya, to już prawdziwy dar Boży, którego nie można nabyć żadnemi studyami i żadną pracą. Trzeba tylko umieć patrzeć i odczuwać...

Przepatrzmy teraz parę obrazów Trusza. Jeden zwłaszcza niezrównany w kolorycie, przykuwa ogromnie do siebie oczy i duszę widza:

Na pierwszym planie mały jar porosły kępami nadrzecznemi — to punkt obserwacyi. Przed okiem widza rozlewa się szeroka wstęga, Bug wije się kilkoma skrętami, aż w końcu ginie gdzieś w sinej niezmierzonej dali. — Zachód słońca. W rogu poza kępami drzew pali się ognisko gasnącego słońca; z tego właśnie punktu, gdzie jest największe skupienie światła, pada oświetlenie na wstęgę rzeki, na szumiące nad brzegiem kępy, na całą olbrzymią dolinę, która zda się niema granic ni końca. Niebo z milionem barw i półcieni, blado zielone, seledynowe po stronie zachodu ciemnieje, dostaje głębokich refleksów, aż w końcu kończy się fioletem nadchodzącego zmierzchu — pył słoneczny tęczowy, zapruszył powietrze, unosi się nad całą doliną, bije kończynami tęczowych skrzydeł o widnokręg i stroi łąkę świetlną koronką — rzeka chłonie w siebie wszystkie blaski nieba i powietrza i skrzy się, jak roztopiony brylant. A przedewszystkiem ta dal straszna, ta przestrzeń nieobjęta okiem, zkąd wieje cień jakiś od widnokręgu, tajemniczość tego, co tam hen po za tą linią siną dziać się musi i dziwna tęsknota nieskończoności i przestrzeni. A, wszystko to dzieje się na przestrzeni ćwiartki papieru, obraz jest 3 dcm. długi, a $1\frac{1}{2}$ szeroki. Na tak małym rozmiarze płótna potrafi się Trusz wypowiedzieć zupełnie. Obrazy jego robią wrażenie czegoś niezmiernie subtelnego, porównałbym je do sonetu w poezyi. A sonetów takich ma Trusz bardzo wiele. Ze wszystkich wieje ten czar słoneczności, we wszystkich ta intuicya, która pozwala Truszowi widzieć wszędzie dookoła siebie rzeczy ciekawe, piękne, a nowe. Łąka Trusza przestaje już być czemś martwem, odtworzonem; kwiaty jego żyją, kwitną, kołyszą się, dzwonią, złudzenie jest tak wielkie, że kiedy patrzałem raz w porze zmierzchu na krzak lilij Trusza zdawało mi się, że zaraz zamkną się śnieżne korony kwiatu, na sen i spoczynek kołysane podmuchem ciepłego sierpniowego wiatru.

Trusz jest wielkim poetą. Dlatego obrazy jego nie są tylko fotografią rzeczy widzialnych ale wieje z nich jakiś czar głęboki i wyśniony, coć co jest poza formą, barwą i nastrojem, ale ogromnie jasne, spokojne i piękne. Naprzykład obraz taki:

Południe. Słońce całą rozlewną strugą żaru i światła, oblewa przestrzeń. Wszystkie przedmioty w tem oświetleniu występują jaskrawo i ostro. Zieleń drzew pod potokami światła dostaje srebrnych odcieni ale największe zwarcie światła skupia się na kościele, który pięcioma ostremi wieżami strzela ku błękitom. Słońce uderza o kościół, rozbija się, załamuje, spływa po wypukłościach muru, kładzie się smugami po szybach i pięć wież, tak jak pięć świec zapalonych, gore na tle blado niebieskiego nieba. Ten kościół świecący, niby w extazie modlitewnej, przestał już być obrazem, a stał się poematem. Jest on jakimś mistycznym łącznikiem między człowiekiem, który na marmurowych posadzkach szepce modlitwy zimnym głazom, a słońce wpadające przez kolorowe szyby, stroi mu głowę w tęcze różnobarwne, a tem niebem wiecznie zakrytem, od którego dzielą nas chmury, pioruny i gwiazd świecące światy. Ten kościół rośnie nam w oczach, skrzy się, zapełnia świat cały srebrem swych wież, przestaje być przedmiotem, a staje się tajemniczym symbolem wszechistnienia...

W malowaniu łąk, lasów i kwiatów posiada Trusz subtelność Taine'a. Oto obrazek, jakgdyby wzięty z Tainowskiej podróży do Hiszpanii. Jesień — małe ustronie leśne:

Krąg wody jakąś niewidzialną ręką
Rzucony między traw sploty na łące,
Całując falą kwiatów stopy drżące,
Utworzył w ziemi zatokę maleńką.

Codzień, gdy róże zapalą się świtu,
Przez traw gęstwinę, kwiatów wonne sady,
Cisną się rojnie owadów gromady
Do zgubionego wśród trawy błękitu.

I zaglądając do nieba ciekawie,
Które na fali pocałunki kładnie,
Widzą krąg słońca zatopiony na dnie.

A kiedy rosy rozperlą się w trawie
Z kwiatów chylących kielichy nad tonią
Spadają krople i dzwonią i dzwonią...

Czy Trusz się dotąd już zupełnie wypowiedział, to rzecz niepewna. Możliwe, że z czasem jeszcze więcej pogłębi się, wysubtelni w szczegółach i pod względem formalnym wydoskonali, ale to pewna, że dziś jest Trusz indywidualnością wielką, nie naśladuje nikogo, jedynie ze Stanisławskim, który stanowczo wpłynął na rozwój jego talentu, łączy go pewne duchowe pokrewieństwo.

Na zakończenie pragnąc ochronić się od spodziewanych a słusznych zresztą zarzutów, zaznaczam, że w pracy powyższej starałem się dać tylko garść wrażeń osobistych i pochwycić ze stanowiska mego odczuwania, istotę twórczości Trusza. Fachowe ocenienie jego obrazów pozostawiam innym, więcej kompetentnym...

Bertold Menkes.

TEATR.

(*„Spuścizna" sztuka w 3 aktach Artura Schnitzlera.*)

Jest jeden obrazek Edwarda Muncha, który dziwne powoduje skojarzenia wyobrażeń. Malarz zatytułował go „Krzyk", a przedstawia istotę ludzką z rozwartemi usty, przemienioną w jeden nieartykułowany, przepotężny, rozpaczny krzyk. Ten mały obrazek dziwne powoduje kojarzenia wyobrażeń w umyśle widza: zda się, jakgdyby duszę biednej tej istoty, ulepionej z gliny, brutalnie wciśnięto w tłocznię, przygwoździono masami, ciężącemi gdyby alp — a ona, ta tak straszliwie gnieciona dusza, koncentruje się w jednym ryku, co do gromu podobny, toczy się w przepaść! — — —

Taki ból nawiedza człowieka; on mu to broń morderczą do ręki wtłacza, on go w uścisk śmierci prowadzi. Munch tylko uplastycznił moment tak intenzywnego bolu.

Wykazanie, jak się to na biedną istotę ludzką, w b r e w j e j w i n i e, stacza tak bezgraniczna boleść, iż jedynem przed nią ujściem śmierć się staje — oto problemat Schnitzlera.

Patrzcie! — wykazuje Schnitzler — oto dwie jedynostki, mężczyzna i kobieta, do takiego stopnia posunęły swą miłość, iż w swem szczęściu obopólnem poszły na przełaj stosunkom społecznym, więzom towarzyskim, iż we wzajemnym uścisku zapomnieć zdołały o „kulturalnych" wymogach, obskurantyzmie socyalnym, międzystanowych przesądach, niewolniczości, jaką krępować się musi „szanujący swe prawa obywatelskie" człowiek.

I te dwie, tak ze sobą zharmonizowane dusze poczuły się w swem szczęściu wniebowziętemi, tak dalekiemi od małostkowości życia, jak daleką jest ziemia od sklepienia niebieskiego.

Aż — — ślepy traf, przypadek nieszczęśliwy zabiera jedną z nich — mężczyznę. Ale lawina nieszczęść, która się stacza na biedną, osamotnioną istotkę, jeszcze nie legła u stóp góry, z której się staczała: porywa za sobą jeszcze symbol, wieczne „memento" minionego szczęścia: uśmierca dziecię, płód tej świetlanej, czystej miłości. Chciałoby się zawołać: dość już, dość tych nieszczęść! Wstrzymaj się lawino, bo zdusisz biedną duszę! Ale nieubłagana, niepochamowana w swym pędzie lawina dalej się toczy! Nieszczęście obmyśliło nowy rodzaj bolu: samotność... Biedna istota, której śmierć porwała męża, dziecię, traci kontakt ze społeczeństwem, rodziną, która się jej wypiera, ją brutalnie odtrąca, jako kochankę, illegalną małżonkę, której serce w chwili kiedy pokochało, zapomniało się zapytać: a czy wymogi towarzyskie miłość tę usankcyonują?

Osamotnienie... Nie: śmierć! Lepsza śmierć, niż samotność, na której powierzchnię co chwila wynurza się cień minionego szczęścia, cienie ukochanych, cienie przeszłości. I z obawy przed tymi cieniami człowiek śmierć sobie zadaje..

— — — — — — — — — — — — — —

Taki jest przebieg „tragicznej" akcyi w „Spuściźnie". A wokół niej tańczy, podskakuje w dzikich podrygach nieodzowny towarzysz powagi, głupoty i filozofazmu: sarkazm, iron‘a, słowem pierwiastek „komiczny". A wiele, bardzo wiele jest w sztuce Schnitzlera tego pierwiastku. Omal że nie więcej, niż tragicznego. Jak wspaniale się Schnitzler wyśmiewa z tej zgraji kreatur, co to z przeświadczeniem swej przynależności do postępu, liberalizmu, wolności, swobody, z ustami pełnemi dźwięcznych frazesów, z myślą o swem kulturalnem, ideowem, ogólno ludzkiem posłannictwie — tak głupio, małostkowo, a przytem brudno w życiu postępują. Sztuka Schnitzlera zwać się by mogła: taniec tryumfującej głupoty dokoła niepokalanych lilii...

A przytem jacy oni naiwni! Mówią z całą powagą ludzi nieomylnych, a nie czują, iż się ośmieszają, iż uśmiech politowania na twarzy wywołują. Filozofują z całą powagą ludzi uczonych, a nie czują, iż nikłymi są ich słowa wobec wiecznie się odnawiających w duszy ludzkiej myśli i uczuć, wybłyskających na przekór wszelkim słowom, obmowom i plotkom.

A wreszcie jacy oni źli, złośliwi i podli! O nich to powiada Courteney, iż te wytresowane automaty tą samą ręką żegnają się w imię „Boga miłości" i tą samą ręką wymierzają śmiertelny cios w pierś „b l i ź n i e g o", który im nic nie zawinił, ale którego kazano im zabijać.

Toteż wobec takich ludzi, ci „tragiczni" olbrzymieją, wyrastają do miary bohaterów. I widz się dziwi, skąd szwaczka lub zwykły sobie doktór praw i umiejętności politycznych, człek przeciętny, wcale nie skuzynowany z rodziną bohaterów teatralnych, królów Edypów lub książąt Hamletów, Antigon lub Balladyn — stąd taki człowiek w swym bolu dochodzi do takiej intenzywności, potęgi i wyższości.

Bo widz mimowoli zestawia sobie w umyśle oba tła: to niepokalane, czyste, idealne, a nieszczęśliwe, tragiczne, i to drugie: brudne, małostkowe, bezdennie głupie, a zadowolone i łatwo się pocieszające, i wszystkie „minus" przypisane drugiemu wynagradza „plusami", skrzętnie zapisywanymi na korzyść pierwszego. Stąd więc bierze się ów podniosły nastrój, w jaki nas wprowadza ta, subtelna, na faktach z życia codziennego oparta tragedya Schnitzlera.

— — — — — — — — — — — — — —

Nie zwykłem po każdej premierze „sądzić" artystów. Zdaniem mojem, rzeczą krytyka nie jest wydawanie sądu na autora, jego dzieło, jego wykonawców. Bo żaden krytyk nie jest do tego powołanym, uprawnionym. Natomiast winien on możliwie najprzystępniej umożliwić przeciętnemu widzowi z r o z u m i e n i e danej sztuki, sąd zaś o niej jemu samemu zostawić. Dlatego też w dalszej konsekwencyi odstępuję od zakorzenionego u nas zwyczaju zaznaczania w krytyce, że „sztuka jest dobrą lub nie", że ten lub ów „aktor był dobrym lub nie". O artystach mówię tylko o tyle, o ile uważam za potrzebne wytłómaczenie bardziej zajmującej i skomplikowanej indywidualności artystycznej (nota bene widzianej pod kątem mego subjektywnego patrzenia).

Dlatego też w tym wypadku nie rozwiodę się nad wykonaniem poszczególnych ról, ale spiszę uwagi, jakie mi się nasunęły, podczas gdy obserwowałem sam sposób przedstawienia sztuki Schnitzlera.

Otóż pierwszym kardynalnym błędem był brak tak zw. w terminologii współczesnego teatru „czwartej ściany". W sztukach współczesnego repertoaru, gdzie do kompletnej illuzyi nieodzownem jest możliwie największe zbliżenie do rzeczywistego tonu życia, muszą osoby na scenie tak się zachowywać, jakgdyby dla nich nie istniało andytoryum, jakgdyby wcale nie czuły wzroku tysiąca osób na siebie wpatrzonych, jakgdyby ich od widowni przedzielała rzeczywiście ściana. Warunek ten dochowany był jaknajstaranniej podczas inscenizacyi „Rodzeństwa" Grabowskiego — brakło go podczas wystawienia „Spuścizny". Częste stawanie przed rampą celem wygłaszania słów, które właściwie mają być skierowane do której z osób na scenie (p. Hierowski i p. Węgrzynowa), nieustannie się objawiająca inklinacya do monologowania przed publicznością (p. Fiszer) a wreszcie sam ton, w jakim słowa na scenie padały, znamionujący, iż nie dla własnego przekonania bywają wypowiadane, ale dla przekonania widza, wszystko to wskazywało, iż aktorzy liczą się w przejawianiu swych uczuć, w wypowiadaniu swych myśli nie zawsze z sytuacyą, w jakiej się na scenie znajdują, ale również obecnością widza, którego oczy na sobie czują i wobec którego nie mogą zupełnie swobodnie się sytuacyą i rolą, jaką w niej odgrywują, przejmować.

A drugim błędem była nierównomierność, z jaką przejawiały się w interpretacyi naszych wykonawców oba pierwiastki (tragiczny i satyryczny) tworzące w swem zespoleniu dzieło Schnitzlera. Strona tragiczna, jako opierająca się na tle uczuciowem, a temsamem łatwiejsza do ujawienia, była bardziej pointowaną, niż strona satyryczna, ogółem mało wyzyskana i to tylko w grubszych, w oczy się wprost rzucających momentach. Szczegółowo uzewnętrzniono (p. Bednarzewska i p. Adwentowicz) zgrozę położenia, szeroko się przelewający smutek, i ten bezbrzeżny ból, ciągle potęgowany nowymi wypadkami; natomiast tylko od czasu do czasu dano poznać wszechobecność zgryźliwej ironii i satyry, jaką Schnitzler niemal wszędzie, niemal w każdem zdaniu, na każdem, choćby najtragiczniejszem miejscu przejawił. A niezbyt się temu dziwię. Bo ten pokład ironiczny tak subtelną, cienką warstwą obwłóczył „tragedyę", iż nieraz trudno go się samemu dopatrzyć, co dopiero widzowi uświadomić. Zdaniem jednak mojem, do powodzenia sztuki w wielkim stopniu przyczyniłoby się ujawienie tych migawkowych a silnie raniących pchnięć, jakiemi Schnitzler razi warstwę społeczeństwa, której nicość i małostkowość wykazać zamyślił.

* * *

Sprawozdanie z komedyi St. Rossowskiego „Nawojka" odkładamy dla braku miejsca do następnego numeru.

MUZYKA.

W świątecznie kwiatami i zielenią ustrojonej sali, w atmosferze gorączkowego oczekiwania nadzwyczajnych wzruszeń i upojeń ukazał się po raz drugi zimny napozór i spokojny, niby zakamieniały w swojej dumie artystycznej — genialny Burmester. Wszyscy ci, którzy po raz pierwszy słyszeli tego czarodzieja skrzypiec, nie mogli się oprzeć pokusie i pociągnąwszy za sobą tłum ciekawych, dla których Burmester był tylko jakąś postacią baśnianą, znaną z dziennikarskich sprawozdań, zapełnili szczelnie jedyną (niestety!) możliwą salę koncertową Domu Narodnego. A więc naprzód sonata Beethovena — przechodzi bez większego wrażenia bo brak jeszcze w tłumie słuchaczy naprężenia uwagi, oczy tysiąca ciekawych ześlizgują się bezmyślnie po postaci artysty, po jego twarzy ciekawej i ogromnie charakterystycznej, po subtelnych kobiecych prawie rękach skrzypka, w których drzemie zaklęty czar melodyi.

Potem cudowny, pełen poezyi i nadziemskiego czaru, koncert Mendelsona. Skrzypce Burmestra łkają przedziwnie, nie jest to już gra, ale spiew jakiś zatraca się zupełnie materyalne połączenie smyczka i struny, tylko płynie rozlewną potęgującą się ciągle falą melodya, to idealne „canto" wszystkich kompozycyi, muzyka romantyka. Największe jednak wrażenie wywarło „Air" Bacha, grane na strunie „g", imitujące śpiew wiolonczeli. Burmester ze zwrokiem wbitym w ziemię, jakby zaczarowany sam swoim spiewem wydobywa ze skrzypiec głębokie tony, crescendo w partyturze pod jego smyczkiem dochodzi do tak olbrzymiej siły, że przez audytoryum za każdym razem przechodzi dreszcz zgrozy, obejmuje całą salę, aż wkońcu gaśnie bez śladu gdzieś pod sklepieniem kolumn. A na zakończenie daje nam Burmester wytchnąć po tylu ogromnie silnych wrażeniach... Paganini, Sarassate wzbudzają w kompetentnych podziw tylko dla nieskończonej prawie techniki Burmestra, którą jednak koncertant sam się nie lubuje, uważając ją tylko za środek do osiągnięcia, możliwie największej doskonałości. Charakterystycznem jest to, że już i tak olbrzymio trudne kompozycye Paganiniego Burmester utrudnia jeszcze w swoich transkrypcyach, na czem same kompozycye bez głębszej treści nic nie tracą...

Idealnym akompaniatorem, czułym na wszystkie kaprysy koncertanta i pozbawionym zupełnie dumy wybijania się na wyraźniejszy plan, był p. Mayer-Mahr, profesor z Berlina.

Ze świata.

Telegramy przyniosły wiadomość o tragicznym zgonie słynnego chemika, jednej z pierwszorzędnych powag naukowych w Niemczech, Maksa Pettenkofera. Lękając się długich lat starości i przewidując nieuchronne osłabienia władz umysłowych, Pettenkofer sięgnął po rewolwer i wystrzałem w skroń odebrał sobie życie. W chwili zgonu uczony miał już 82 lata. Pettenkofer w młodym wieku zabłysnął jako niezwykła siła naukowa, czego wynikiem było powołanie go na nadzwyczajnego profesora chemii przy uniwersytecie w Giessen. W r. 1855 zamianowany profesorem zwyczajnym, Pettenkofer poświęcił się głównie badaniom naukowym nad hygieną mieszkań i odzieży. Dociekania jego nad cholerą i wodą, nad oddychaniem i żywieniem się zwierząt itd. wpłynęły na zjednanie uczonemu szacunkiem otoczonego imienia w świecie naukowym. Pettenkofer był też jednym z twórców nauki o przemianie materyi. Niemniej stał się założycielem działu hygieny doświadczalnej. Dowodem uznania, jakie zdobył Pettenkofer, było powołanie go na prezesa bawarskiej Akademii Umiejętności. Od sześciu lat, przeszedłszy w stan spoczynku, uczony nie przestawał pracować naukowo, pozostawił też wielkie ślady po sobie w dziełach, które długo będą podstawami dla następców uczonego. Pettenkofer stworzył i redagował również pisma: „Zeitschrift für Biologie" i „Archiv für Hygiene".

*

Setna rocznica zgonu Daniela Chodowieckiego, znakomitego sztycharza, minęła d. 7-go b. m. Urodzony w Gdańsku, pochodził z rodziny polskiej, lecz od dwóch pokoleń zniemczonej. Mimo to uważał się za Polaka, a jedną z pierwszych jego prac jest rysunek przedstawiający nabożeństwo w śród ludu polskiego. Początkowo był Chodowiecki subjektem w handlu towarów korzennych. W Berlinie dopiero rozpoczął studya artystyczne, a wystąpiwszy z handlu, poświęcił się zrazu malarstwu olejnemu, lecz niebawem przerzucił się do rytownictwa i odrazu wyrobił sobie styl indywidualny, zdobył rozgłos i pracował dalej jako illustrator najgłośniejszych wydawnictw. Prace Chodowieckiego są u nas mało znane i spopularyzowane. Dosyć liczny zbiór jego obrazów i sztychów, — wystawiony we Lwowie w r. 1894 — posiada p. Mieczysław Pawlikowski w Medyce.

*

Poruszona w roku ubiegłym myśl ulepszenia portu londyńskiego, który Brytańczyk nazywa z dumą największym na świecie, zostanie wkrótce urzeczywistniona. Roboty te wymagać będą olbrzymich funduszów; samo pogłębienie koryta Tamizy pochłonie 2 mil. fst. Lecz ta suma wydaje się drobnostką wobec funduszu potrzebnego na kupno doków londyńskich i indyjskich, oraz towarzystwa handlowego Surrey. Kapitał na ten cel zużytkowany, spłacony będzie w ratach, przez lat 100. Przebudowa portu w Londynie okazała się konieczną wobec znacznego powiększenia się przywozu towarów. W ostatnich czasach zdarzało się coraz częściej, że właściciele okretów woleli towary wyładowywać w je dnym z portów na północy Angli i przewozić je koleją do Londynu, niż zawijać do stolicy i narażać się na zwłokę, z powodu braku odpowiedniego pomieszczenia.

*

Wielki kongres, poświęcony chorobom gruźlicznym, obradować będzie w Londynie od 22 do 26 lipca r. b. Zapewniony jest już współudział przedstawicieli wszystkich kolonii brytańskich, oraz państw europejskich, azyatyckich i amerykańskich. Obrady prowadzone będą w czterech sekcyach: 1 Stanowisko państwa, miasta względem gruźlicy, 2 zwalczanie medyczne gruźlicy, z uwzględnieniem klimatologii i sanatoryów, 3. patologia łącznie z bakteryologią, 4. gruźlica u zwierząt.

Samochodem do bieguna północnego. Liczno czyniono już próby dotarcia do bieguna północnego, ale wszelkie przedsięwzięcia spełzły dotychczas na niczem. Saniami, okrętami, balonem usiłowano dostać się do upragnionego celu, lecz daremnie. Obecnie zabrano się do spożytkowania najświeższego środka lokomocyi — samochodu. Wynalazca tego specyalnego pojazdu do drogi po powierzchniach śniegowych, wypróbował go w podróżach eksploracyjnych w Australii i Nowej Zelandyi. Siłą motorową jest para, a pojazdy są trzy razem złączone. Obręcze kół zaopatrzone są w kolce, by mogły lepiej w lód się zagłębiać. Warstwa filcu, pokrywająca dach, ściany boczne i tylne nie przepuszcza zimna, ściana przednia zaś jest ze szkła, tak, że jadący ma przed sobą widok wolny. Pojazd motorowy i transportowe połączone są ze soba kurytarzem, a ogrzewa je motor, parą, która idzie przez rury, aż do tylnej ściany, tak, że w pojazdach znajduje się ciągły strumień pary.

*

Wyprawa do bieguna południowego. Dr. Nordenskjöld, znany podróżnik i uczony, zażądał, jak donoszą z Göteborga, pomocą państwowej w sumie 35.000 koron, aby módz urzeczywistnić projektowaną wyprawę do bieguna południowego na szerszą skalę. Progam wyprawy obejmuje przezimowanie w strefie podbiegunowej, badanie głębi morskiej, wycieczki w kierunku południowym, oraz wspólną pracę z wyprawami niemiecką i angielską, zwłaszcza w dziedzinie meteorologii i magnetyzmu ziemi. Koszta ogólne obliczone są na 115.000 koron, z których 75.000 jest już zapewnionym.

Bańki mydlane.

Jego ścigali wierzyciele,
Jej dolegało znów ubóstwo...
Czytała jednak o nim wiele,
On o niej również razy mnóstwo,
Ztąd wyrodziła się chęć zdradna:
Ten — albo żaden! ta — lub żadna!

Szukali się jak w korcu maku —
Marząc o pełnym złota worku...
Wreszcie ujrzała go we fraku,
On ją *decolté* na wieczorku!
I zapłonęły oba serca
Do małżeńskiego w lot kobierca!

Mimo pokątnych szeptów, knowań,
Co się przed ślubem nieraz zdarza —
Powiódł sławiony... król polowań
Królowę balów do ołtarza!
A że wierzyli w swą karyerę —
Przysięgi przeto były szczere!

Ale niebawem... z głośnej sławy
Kwiat rozczarowań się wyłonił!...
Jej — nic nie dano prócz.. wyprawy!
On — resztki mienia dawno strwonił!
I dziś on, ona są w rozterce,
Bo im zrobiło zawód... serce!

El.

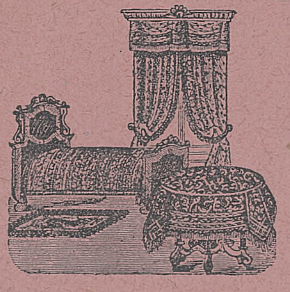
Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6. (pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 11—44

Wspierajmy Przemysł krajowy.

Krajowy Związek przemysłowy

Krajowa Agencya przemysłowa.

Poleca w największym wyborze:

Płótna od najgrubszych do najcieńszych, apretowane i nieapr. **Bielizna** stołowa, cierki, ręczniki, chustki, drelichy. **Płócienka** kolorowe. **Sukna** modne i na ubrania studenckie i sokole. **Burki** i bundy sławuckie. **Koce** na łóżka i konie. **Portyery i firanki. Kilimy,** makaty buczackie **Kosze i kufry,** meble bambusowe. **Wyroby powroźnicze. Majolika** kołomyjska i rzeźby. **Gotowe** ubrania męskie i wyprawy. 21—24

W Bazarach: we Lwowie ulica 3-go Maja l. 5., w Krakowie Rynek l. 20., w Nowym Sączu, w Przemyślu, w Tarnopolu.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA LWÓW MICKIEWICZA L. 2

15—52

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego. 7—52

Skład wędlin

M. Kamińskiego

Lwów

Hotel Georga

Poleca zawsze świeże wędliny szczególnie kiełbasę do gotowania „SECESSION“.

Wysełka za pobraniem.

Ceny umiarkowane — dla odsprzedających znaczny rabat. 4—8

L. J. Malewski

we Lwowie, ul. Ormiańska l. 12.

poleca wyrabiane w swej fabryce

KORKI

do beczek i butelek

w lepszej jakości od zagranicznych, jakoteż drzewo korkowe, koła do mielenia jagieł, oraz podeszwy i koreczki damskie. 10—12

Portrety olejne

na płótnie różnej wielkości podług fotografii wykonuję w krótkim czasie i po cenach nader umiarkowanych.

Za wykonanie artystyczne i podobieństwo odpowiadam.

Przy zamówieniu przyjmuję ¼ część należytości.

Z szacunkiem
artysta malarz

L. Köhler

ul. Supińskiego l. 3.

3—?

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	Boa gazowa	Aplikacye
Wielki wybór	Szale jedwabne	Pasmanterye
Ceny niskie	Żaboty	Paski
	Weloniki	Gorsety.

16—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 17—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Światowa wystawa. — Paryż 1900.

Odznaczenie na wystawach!

Złoty medal! **Złoty medal!**

DOSKONAŁE

wina dalmatyńskie, chorwackie i styryjskie stołowe, deserowe i kuracyjne

poleca 7—12

ręcząc za ich prawdziwość i naturalność

SKŁAD WIN

Braća Didolić

Lwów, ul. Czarnieckiego l. 3.

Pokój do zebrań towarzyskich!

KANTOR WYMIANY

BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 7—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Poleca się HANDEL WINA Ludwika Stadtmüllera we Lwowie ul. Krakowska l. 9.

4—12

PREMIE
„TYGODNIKA NARODOWEGO“

Każdy Prenumerator, zamawiający „Tygodnik Narodowy“ na cały rok 1901, otrzyma jako **premię bezpłatną** jedną z następujących powieści Wojciecha hr. Dzieduszyckiego do wyboru, a to:

„Mięszane małżeństwo“ . . . 3 tomy
„Święty Ptak“ . . . . . 2 tomy
„W Paryżu“ . . . . . . 2 tomy

Nadto każdy Prenumerator, uiszczający należytość z góry za cały rok, otrzyma jako drugą **premię bezpłatną:**

ALBUM

zawierające 10 kartonów z reprodukcyami najwspanialszych dzieł nowoczesnych malarzy.

Nadto każdy Prenumerator „Tygodnika Narodowego“ (nawet miesięczny) otrzyma illustrowany kalendarz „**LWOWIANKA**“ za przesłaniem do Administracyi kwoty 15 ct. (na opakowanie i koszta przesyłki).

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5